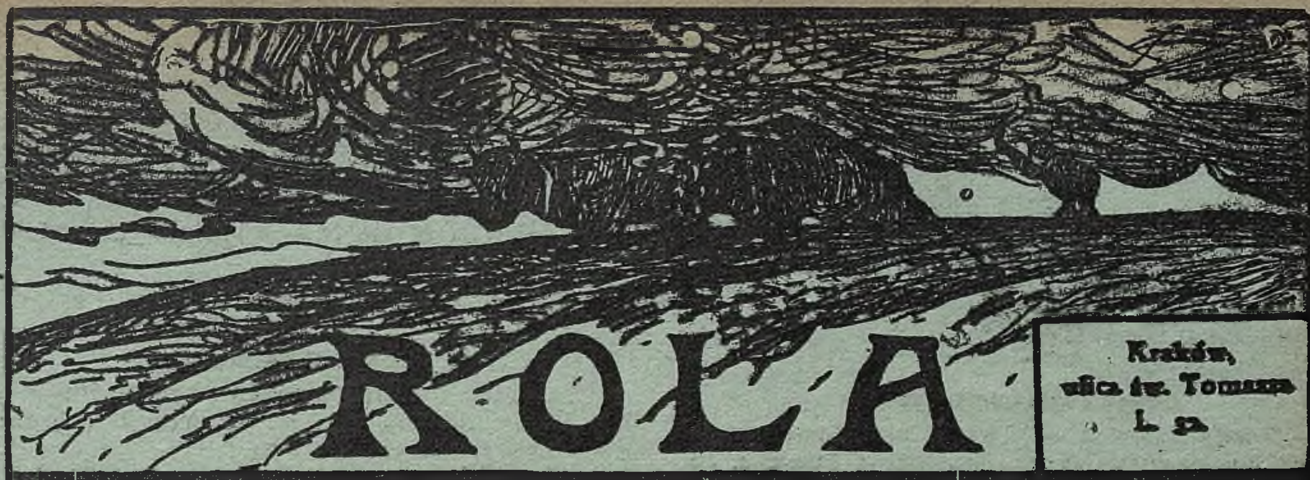
Numer 42. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 14 października 1934



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nie wytrzymali.

— Nie mogę zrozumieć, jak nasi przodkowie mogli wytrzymać bez elektryczności, bez telefonów i bez radja!

— Jakto mogli wytrzymać? Właśnie że nie mogli! Przecie wszyscy poumierali!



Uregulowany tryb życia.

— Każdy człowiek — powiada pan Tomcio musi żyć według pewnego zgóry określonego budżetu. Ja, naprzykład, tak mam ułożone wydatki: trzydzieści procent dochodu przeznaczam na komorne, dwadzieścia na ubranie, trzydzieści na życie i czterdzieści na wódkę...

— Ależ to razem sto dwadzieścia procent! — przerywa ktoś ze słuchaczy.

— Właśnie to jest całe nieszczęście! — odpowiada pan Tomcio.



W KOMISARJACIE.

— Panie przodowniku, czy nie oddał tu kto butelki konjaku, którą pozostawiłem w tramwaju?

— Nie, ale zato konduktor tramwajowy przyprowadził nam pijanego pasażera, który ją znalazł.

W sądzie.

Świadek wchodzi do sali. Sędzia, przeglądając papiery, pyta:

— Skąd przybyliście?

— Z Myślenic — odpowiada zapytany.

Naraz sędzia spostrzega, że poczciwina wszedł z kapeluszem na głowie do sali. Gromi go więc:

— A kapelusz?

— Także z Myślenic — wyjaśnia dobrodusznie zapytany.



Zaczynali od małego.

Ulicą idzie dwóch dyrektorów banku. Nagle podbiega mały ulicznik, wyciąga jednemu z nich chustkę od nosa z kieszeni i ucieka.

Na to jeden z dyrektorów rzecze do okradzionego kolegi: — Moritz, widziałeś? Ten łobuz ciebie okradł, a ty nic?

— Daj jemu spokój Izydor — odpowiada tamten — my przecież też od małego zaczynali!



Kto to jest?

Szef wchodzi do biura. Woła świeżo przyjętego praktykanta i pyta:

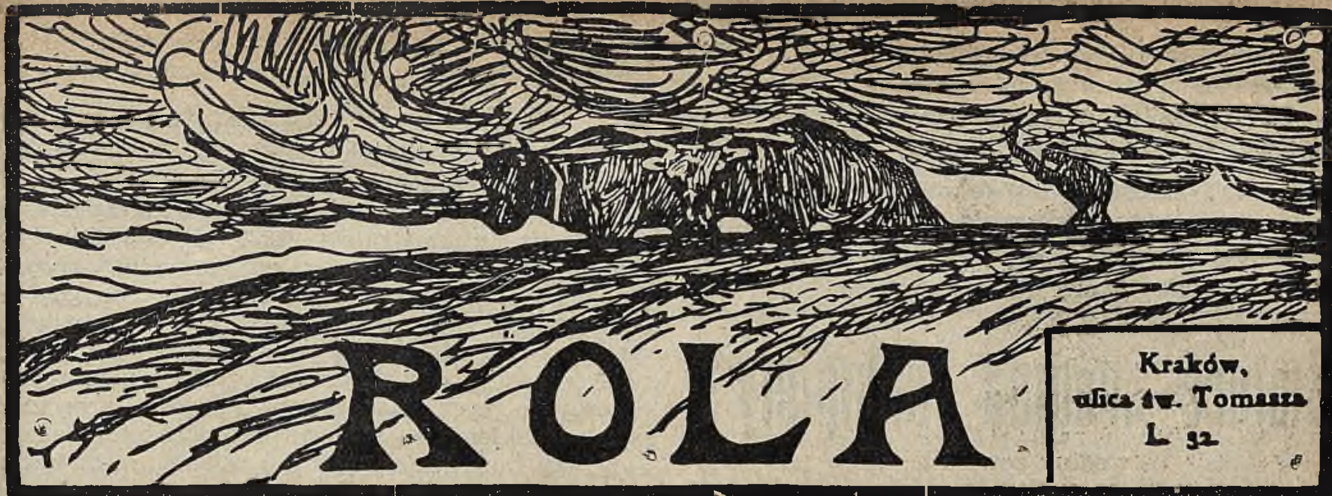
— Czy wszystko panu zostało pokazane? Czy wie pan już, co pan ma robić?

— Tak panie dyrektorze. Tylko jednego nie rozumiem...

— Czego?

— Panowie powiedzieli mi, żebym uważał zawsze na korytarz, a jak będzie szedł ten stary osioł, to żebym im zaraz mówił. To ja nie wiem, kto to jest „ten stary osioł"?

Numer 42 Rok XVII. Kraków, 14 października 1934.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1934: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·40 zł., kwartalnie 3·30 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz Półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracii »Roli«: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Jak należy jeść owoce?



Znajdujemy się w okresie, kiedy obfitość owoców na każdym kroku nęci nasze oko i trzeba odpowiedzieć na banalne a jednak ważne dla naszego zdrowia pytania: czy można jeść owoce na surowo, czy należy je przed spożyciem płukać i jak, czy wolno pić wodę po owocach i t. p.

Pytania te nie są nowe, ale odpowiedzi na nie zmieniają się.

Nie tak to dawne czasy, kiedy wzbraniano zupełnie jedzenia świeżych owoców. Sądzono, że surowe owoce mogą wywołać tyfus, czerwonkę, albo i cholerę. A jeszcze w czasie wojny rozlepiano w miasteczkach i po wsiach ostrzeżenia, aby nikt nie jadł surowych owoców, lub broń Boże nie napił się potem wody — bo pewna cholera. Dziś, nieco inaczej zapatrujemy się na te rzeczy.

Przedewszystkiem obowiązuje zasada, aby jeść owoce świeże. Zawierają one niezbędne dla naszego zdrowia składniki: witaminy i sole mineralne.

Ale owoce mogą spowodować niestrawność. Powodują ją owoce niedojrzałe, lub owoce spożywane w nadmiarze. Tworzą się wówczas fermentacje w jelitach i te wywołują biegunki.

Są jednak osoby, które już po spożyciu niewielkiej ilości owoców skarżą się na dolegliwości. Osoby te odznaczają się wielką pobudliwością nerwową jelita, stąd więc pochodzą różnorodne zaburzenia po spożyciu owoców. Nikt jednak nie może zrezygnować z owoców, dlatego też nawet osoby źle trawiące owoce, powinny je jeść, ale w postaci papkowatej, a więc przecierane. Kompoty ani też i konfitury nie mogą w zupełności zastąpić świeżych owoców.

A jak się przedstawia sprawa tyfusu i innych chorób zakaźnych przewodu pokarmowego, po spożyciu owoców? Czy owoce mogą wywołać tyfus?

Same owoce, jako takie, nigdy. Ani też woda, choćbyśmy naprzemian jedli owoce i popijali wodą. Niemniej jednak obawy te są do pewnego stopnia słuszne.

Otóż tyfus można dostać tylko wskutek zarażenia się. Zarazki tyfusu najczęściej przenoszą się za pośrednictwem wody, mleka, czasem i owoców, jeśli te były w ręku t. zw. nosicieli zarazków. Ale aby zachorować na tyfus, nie wystarczy się zarazić. Trzeba jeszcze, aby zarazki mogły się rozwinąć w organiźmie.

Głośny badacz ub. wieku Pettenkofer twierdził, że tyfus pochodzi z ziemi. Kiedy mu na pewnem posiedzeniu naukowem oświadczono, że tyfusem trzeba się zarazić i że powodują go zarazki, bardzo się rozgniewał i aby udowodnić słuszność swego poglądu, wypił jednym haustem hodowlę złośliwych bakteryj tyfusu, którą ktoś przyniósł na owe posiedzenie.

— Zobaczymy, czy zachoruję — wyrzekł ironicznie. I rzeczywiście nie zachorował.

Późniejsze badania nad tem dziwnem doświadczeniem, które Pettenkofer wykonał na własnej osobie, wykazały, że zarazki tyfusu giną, jeśli żołądek działa prawidłowo, jeśli wydziela soki trawienne, a zwłaszcza kwas solny, który zabija zarazki tyfusu. Zapadają natomiast łatwo na tyfus te osoby, które cierpią na niestrawność. Ponieważ owoce w porze letniej powodują dość często niestrawność, przeto pośrednio mogą się przyczynić do powstania tyfusu.

Jeśli chodzi o możliwość przeniesienia zarazków na owocach, to aby tego uniknąć, należy owoce zerwane czyjąś inną ręką zawsze umyć. Oczywiście woda do mycia owoców powinna być bezwzględnie pewna, a więc powinna to być woda wodociągowa lub woda przegotowana. Jeśli w jakiejś miejscowości pa-

nuje epidemja tyfusu, lub czerwonki, należy owoce przed spożyciem zanurzyć na krótko w gotującej wodzie. W ten sposób zginą zarazki, znajdujące się ewentualnie na powierzchni owoców.

Co się tyczy picia wody po owocach, to jest w tem dużo przesady. Dobra woda, w miernej ilości nie szkodzi, przy piciu zaś dużej ilości wody może wystąpić biegunka, nawet bez jedzenia owoców.

„Śmierć Longina Podbipięty".

według powieści
Henryka Sienkiewicza
„Ogniem i Mieczem".

Gdy Polacy odparli jeden z najcięższych szturmów wojsk kozackich i tatarskich na Zbaraż, Skrzetuski, Longinus Podbipięta, Wołodyjowski i Zagłoba udali się do namiotu starosty krasnostawskiego Marka Sobieskiego, na radę.

— Jakośmy sobie zaprzysięgli — rzekł pan starosta — że jeden na drugim padnie, a nie poddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie niema, a co gorzej, to i prochy się kończą. Innym jabym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niedługo jeno zaciekłość w sercach i szable w ręku nam pozostaną — i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj Boże króla jak najprędzej, bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan, ten nasz król, Jan Kazimierz! Pewnieby fatygi i zdrowia nie żałował, byle nas wyzwolić, ale za małe ma siły i musi czekać. I zresztą skąd król jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu warunkach się bronimy i że już okruchów dojadamy.

— A żeby tak dać znać? — spytał Zagłoba.

— Żeby się znalazł kto taki cnotliwy, ktoby się przekraść podjął, toby nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, tenby był zbawcą całego wojska i od Ojczyzny klęskęby odwrócił. — Ale kto pójdzie? kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przeciśnie z okopu!... Pewna i oczywista to śmierć, takie przedsięwzięcie!...

Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się bruzdami i cały czas siedział milczący, nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Ja się podejmę przekraść przez Kozaków.

Rycerze usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski począł ruszać wąsikami raz po razu, Skrzetuski przybladł, starosta krasnostawski zakrzyknął:

— Waćpan podjąłby się tego dokonać?...

Czyś waść rozważył co mówisz? — rzekł Skrzetuski.

— Dawno rozważyłem — rzekł Longinus — bo już to nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi jegomości o naszem położeniu.

— Słyszałeś waść — zawołał Zagłoba — co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?...

— Tak i co z tego bratenku — rzekł pan Longinus. — Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

— Ale pierwej cię pochwycą, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku czyś rozum stracił? — mówi pan Zagłoba.

— A tak pójdę, bratenku — odparł Podbipięta ze słodyczą litewską w głosie, poczem zaczął się żegnać z towarzyszami.

— Dokąd idziesz? — pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego — do spowiedzi. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

— Po spowiedzi i komunji pan Longinus cały czas spędził na modlitwie, zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowousypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskiemi, że swoi swoich odróżnić nie mogli — i trzy razy tak wiązali się ze sobą. Chmielnicki wytężył wszystkie siły, bo mu i chan i właśni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm, i że odtąd głodem tylko nękać będą oblężonych. Ale po trzech godzinach wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznemi stratami, że były później wieści jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie, rzucono cały stos chorągwi pod księcia — i, że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzestannej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony wódz, Jeremi, natychmiast po szturmie, prowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół — poczem dopiero cisza ukoiła tabor i obóz...

— Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski. —

— Pistolety dobrze osłoń — szeptał Skrzetuski — żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczym na ratunek. —

— Ciemno choć oko wykol! — szepnął Zagłoba. To lepiej — odrzekł pan Longinus.

— Byleś się do dębiny dostał..

— O Boże. Boże! — westchnął Zagłoba, trzęsąc się jak w febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas rzekł Longinus.

— Czas! czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem! Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie bracia zdrowi, a przebaczcie, jeżeli któremu w czem zawiniłem.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony.

Bądźcie zdrowi — powtórzył raz jeszcze. I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu — raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom i znikł w ciemności.

Między drogą do Załośćic a gościńcem z Wiśniowca, rosła dąbrowa, przerywana wąskiemi w poprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Załościce — tam to postanowił dostać się pan Podbipięta.

Droga ta była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wy-

brał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru, przez całą noc kręciło się najwięcej ludzi i straże najmniej dawały baczenie na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzane były strażami, które objeżdżali ustawicznie setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąkę i wzdłuż rzeki nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nietylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno i ostrożnie, aby nie wpaść do którego z dołów, lub rowów, pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko, skopane polskiemi i kozackiemi rękoma.

W ten sposób, dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono i przeprawiwszy się przez fosę puścił się chyłkiem ku szańcom kozackim. Stanął i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich mołojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych okopów. — Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Od czasu do czasu słaby jakiś jęk albo westchnienie, zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze. Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, również była pokryta trupami. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie, ani ogniska, ani człowieka — nikogo na całym majdanie, prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłe i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż na koniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i spojrzał po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było światełek, jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jak gwiazdka, którą chmury to odkryją, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu — pomyślał pan Longinus. I tęsknota przygniotła go, jakby kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży małe światełko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie, książę Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki — tam go kochają i radziby go bronić — a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. — Dusza poczęła się w nim wahać.

Nadleciał doń w ciemności blady niepokój i począł szeptać mu do ucha: „Nie przejdziesz, to niepodobieństwo! — wróć się jeszcze, — jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek. — Przez te tabory, przez tę dzicz, nie przejdzie nikt".

Ów obóz ogłodzony, zasypany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinusowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły — a oni sami już, nie pójdą, ani nikogo nie wyślą — i będą czekać dalej Bożego i królewskiego zmiłowania.

— A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus. Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, cieścią, bo on ze wszystkiego korzysta.

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię shańbić — wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec?

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciążyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliźnich, nakoniec jakby odpowiadając groźbie dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

— A tak i pójdę.

Droga już była równiejsza, mniej dołów i rowów. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi, ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześlizgnąć między stawem, a taborem.

Szedł teraz szybko bez przeszkód i już zdawało mu się, że dosięga linji taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwandransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

— Straże kozackie — pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu, więc rzucił się co tchu w bok i zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się bez ruchu trzymając w jednej ręce pistolet — w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bliżej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

Głosy oddalały się stopniowo i nakoniec zamilkły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej. Deszcz tak drobny, jak mgła, począł mżyć. — Zrobiło się jeszcze ciemniej. Po lewej stronie pana Longina, zabłysło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie i trzecie, dziesiąte. Teraz był już pewny, że znajduje się na linji taboru.

Światła były rzadkie i mdłe, widać spali tam już wszyscy i tylko gdzieniegdzie może pito lub gotowano strawę na jutro.

— Bogu dzięki, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus. — Znużeni muszą być śmiertelnie... — Zaledwie to pomyślał, gdy z dala usłyszał znów tupot koński — jechała druga straż.

Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blisko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem, konie zwykły przechodzić koło leżących ciał nie zastraszyły się.

Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwie jeszcze patrole, widocznem było, że cały krąg objęty taborem, strzeżony był jak źrenica oka. Pan Longinus skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między piecami wedet i szeregiem wozów. — Tabor nie był dalej jak na dwa strzelania z łuku — i dziwna rzecz zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równolegle do szeregu wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i ówdzie ogniskach, widać było siedzące postacie. W jednem miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak, że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru, oświecona mdłemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą. Wówczas stanął i namyślał się, co począć.

Był otoczony. Obozy kozackie i tatarskie okalały, jakby pierścieniem cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać. Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia, między kozactwem, a tatarami. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolisku — chybaby się chciał cofać znowu do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Pan Longinus postanowił szukać przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Blaski płonących tu i ówdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwandransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas ziemi pomiędzy wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i kozaków, gdyż tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy.

Upłynął kwandrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nietylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie — modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł, czerniały przed nim chrusty i gąszcze, za któremi rosła dębina, za dębiną bór, aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie, i sława, i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było, albo rzadkie do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje nogi i szedł jak olbrzym, co stąpi krok, to jakby inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej i zbawienie coraz bliżej... Oto już i dęby! Noc pod niemi tak czarna jak w podziemiu. Ale i to lepiej. Powstał lekki wiatr, więc dęby szumiały zlekka, rzekłbyś — mruczą pacierze: „Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchrońże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę".

Już z okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo m... sercu anieli śpiewają. Dębina rzadnie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściały mocniej, jakby chciały rzec: — „Zaczekaj, bezpieczniej ci było wśród nas" — ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, z pod rozłożystych gałęzi wyłania się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza. Kto ty? — Kto ty?

Język ich niezrozumiały: nakrycia głowy jakieś szpiczaste — to tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie postacie tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia i chwyciło go żywemi rękoma, lecz on wstrząsnął się tylko i wszyscy zapaśnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Poczem straszliwy miecz zazgrzytał w pochwie — i wnet rozległy się wycia, wołania na ratunek, świst miecza, rżenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkiemi dzikiemi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się raz i drugi kupą na rycerza, ale on oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza — i ciął straszliwie.

Diw! — Diw! — rozległy się dzikie wycia. Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny i cała łąka zaroiła się jakby mrowiem pieszymi i jezdnymi. Biegli kozacy i tatarzy z kosami, z drągami i łukami — z palącem łuczywem w ręku. Gorączkowe pytania zaczęły się krzyżować i przelatywać z ust do ust: Co to jest? Co się stało?

Diw! odpowiadali koniuchowie. Diw! powtarzały tłumy. Lach! Diw- Ubij. Żywcem bierz! Żywcem! Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletu, ale wystrzałów tych, nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu olbrzymi, oparty o drzewo i czekał z mieczem w ręku. Tłum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiał głos komendy: — Bierz go! Co żyło rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem — przez długi czas nie można było nic rozpoznać Nareszcie krzyk przestrachu wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili. Pod drzewem został pan Longinus.

Sznurów — sznurów- — zabrzmiał jakiś głos. Wnet jezdni mknęli po sznury i przywieźli je w oka mgnieniu. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa. Ale pan Longin ciął mieczem — i chłopi z obu stron padali na ziemię.

Widząc to, rozwścieczona horda spędziła kozaków i naokół rozległy się dzikie wołania: — Uk! uk!

Wówczas na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczaków pod nogi, poznał pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci i rozpoczął litanję do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały oddech, oczekując, co się stanie. Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Matko Odkupiciela!" — i obtarła mu skroń.

Druga strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Panno Wsławiona!" i utkwiła mu w ramieniu. Słowa litanji zmieszały się ze świstem strzał. I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna" — już

strzały tkwiły mu w ramionach, w boku i w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy, i widział już jak przez mgłę łąkę i Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... nakoniec ukląkł.

Potem nawpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: „Królowo Anielska i to były jego ostatnie słowa na ziemi...

Aniołowie niebiescy wzięli, jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u „Królowej Anielskiej"...

Nowy Bytom, dnia 26 czerwca 1934 roku.

Płomiński Władysław.

Przyjęty na derwisza.

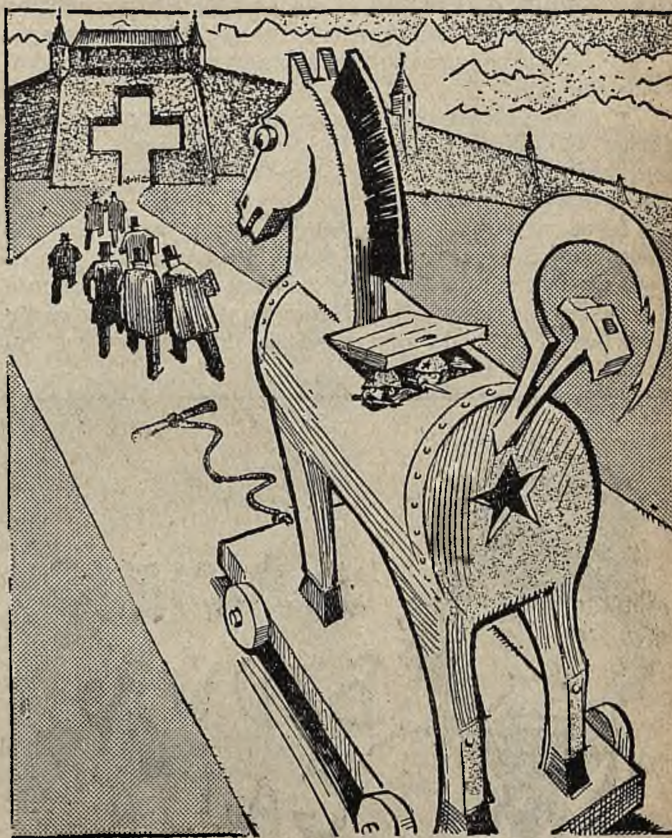
Praktyki religijne u mahometan wykonują tak zwani derwisze, czyli mnisi lub pustelnicy. Przy pogrzebach lub innych okazjach ci mnisi, za pewną opłatą wykonują modły, wykonując przy tem najrozmaitsze ruchy. Żyją oni w stowarzyszeniach, czyli bractwach, ubierają się przeważnie w suknie barwy czarnej lub zielonej, przełożeni zaś noszą szaty białe. Do obrządku derwiszów należy szalony taniec wśród którego tracą nieraz przytomność i wzajemnie zadają sobie rany.

Przyjęcie do stowarzyszenia derwiszów nowego kandydata odbywa się nader uroczyście i przy sutej biesiadzie. Oto na naszym obrazku widzimy jak matka małego turka, który na derwisza okazał niezwykłe zdolności przyprowadza go i oddaje, do stowarzyszenia derwiszów jako praktykanta, podobnie jak u nas przyjmują uczniów do Zgromadzenia księży Misjonarzy i t. p.



Jak już wspomnieliśmy z okazji przyjęcia do stowarzyszenia derwiszów małego kandydata na dziedzińcu domu stowarzyszenia odbywa się uczta tak dla derwiszów jako też zaproszonych gości, na którą rodzice małego kandydata składają, stosownie do swej zamożności pewną kwotę pieniężną, oprócz opłaty za naukę.

Wejście Rosji sowieckiej do Ligi Narodów.



Gazety szwajcarskie zamieściły z okazji wstąpienia Sowietów do Ligi Narodów powyższą karykaturę, zatytułowaną „Litwinowa dar Danaów", która wymownie charakteryzuje uczucia z jakiemi Szwajcarowie przyjęli rozgoszczenie się Sowietów w Genewie. Legendarny koń trojański ma symbolizować obawy Szwajcarów przed komunistyczną propagandą w ich kraju, dla której otwarto naoścież drzwi przez zaproszenie Rosji sowieckiej do udziału w Lidze Narodów, którą ma przedstawiać na powyższym obrazku twierdza krzyżem świętym.

Upijanie się zwierząt zapachem krwi.

Znany myśliwy angielski Champion, który od szeregu lat przebywa w dżungli indyjskiej głównie dla fotografowania dzikich zwierząt, dowodzi w korespondencji swej, że dzikie bestje dżungli bynajmniej nie są tak niebezpieczne dla człowieka, jak się to ogólnie sądzi. Niebezpieczeństwo tygrysów — pisze Champion — ani w przybliżeniu nie jest tak wielkie, jak niebezpieczeństwo samochodów w wielkich miastach. Tygrys nie jest wcale okrutny, nie leży to w jego naturze. Na stokach Himalajów sfotografował on kilkakrotnie wszystkich członków rodziny tygrysiej. Jedynie tygrysica nie zbliżyła się nigdy dość blisko do aparatu fotograficznego. Także innego tygrysa, zwanego królem Chaukham, Champion przez kilka lat daremnie usiłował chwycić na płytę fotograficzną.

Wybitną cechą tygrysa jest ciekawość, wspólna zresztą wszystkim kotom. Champion kilkakrotnie

stwierdził ślady tygrysów obok swego aparatu fotograficznego, o ile się od niego oddalił. Podobne wydarzenie miał pewien inspektor lasów, który zostawił auto swoje na drodze i na chwilę oddalił się wgłąb lasu.

Do samochodu podszedł duży tygrys, obwąchał koła i lampy, potem wspiął się na tylnych nogach, by spojrzeć w szybę. Następnie jednakże oddalił się spokojnie skoro się przekonał, że tam nic więcej ciekawego nie ma.

Tygrys potrafi być okrutnym, gdy napada młode słonie. Przegryza on im najpierw ścięgna tylnych nóg, ażeby mu nie mogły uciec i zaczyna następnie zżerać żyjącą jeszcze ofiarę.

Inne zwierzęta natomiast zabija tygrys natychmiast, przeżerając ofierze kręgi karku lub tętnice szyi. Tygrys zabija tylko tyle zwierząt, ile potrzebuje dla zaspokojenia głodu. Pantera natomiast upaja się zapachem krwi i dopóty morduje, dopóki jest coś żyjącego w jej pobliżu.

Pantera, która razu pewnego wtargnęła do ogrodzenia, w którem przebywały kozy, wymordowała więcej niż 30 sztuk. Pantera, która raz zabiła człowieka, zasmakuje w tem i staje się groźną plagą mieszkańców.

Także i czarne niedźwiedzie nieraz napadają ludzi, wprawdzie tylko wtenczas, gdy ludzie się zbytnio do nich zbliżają, a niedźwiedź czarny, który źle widzi i źle słyszy, w czas ich nie dostrzeże.

Pozatem jest on zwierzęciem spokojnem, żywiącem się przeważnie roślinami. Dla słodyczy niedźwiedź ma szczególniejszą słabość, a gdy krajowcy pod palmami ustawiają naczynia dla chwytania słodkiego soku palmy, niedźwiedzie chętnie składają tam wizyty i nieraz tak się upijają sokiem, że zataczają się formalnie i że młode, które zwykle matka nosi na grzbiecie, muszą zejść na ziemię i iść o własnej sile, aż mama wytrzeźwieje.



MACIEK BZDURA GADA:

Jescem dobrze nie odsapnął po podróży, a tu juz zaceni gospodyni wyprawiać ze mną komedyje, ze jaz mi ozur obłaz ze skóry. Gospodyni, ze to są obsyrnio w gębie, potrafią jak ino chcą nie byle kogo w pole wyprowadzić.

Wyprowadzili se wkiejsik w syrzuteńkie pole samego pana łometra niby wedle tej gruski, coto na miedzy rośnie. Somsiod Cabon padają, że ta gruska od samego urodzenia jest ich. Gospodyni obstają rzetelnie co tę gruskę posadził świętyj pamięci, „niech mu jasno będzie w niebie", jesce za swego żywota jejdziadkowego stryk swok: Cabon chciał, cobyśmy se te gruski zbirali do spółki, ale gospodyni jak gospodyni. Z nimi by ani święty Pacyfik nie pokurał. Zaceni se tak z Cabanem wyłazić na filipotykę, ze jaz potem, gospodyni nimogli tego ścierpieć, ze to niby w zimie jest cas nato, wzieni i wyprowadzili se pana łomentre.

Gospodarz, ze im ta o gruski ani o ulizołki nie wiela chodziło, wleźli se za piec i śmiali się pocichu. My zaś, to jest jo, gospodyni, Kaśka i Cabon, poślismy za łomentrem pod tę gruskę. Pan łomenter wyjon se z kieseni okrągłą tabakierkę i zacon z niej wyciągać jakisi blasany snur. Koniusek tego snura dał mi w palice, i zeby mi się koniec nie wysmyknął, tak kazał mi se koniusek tego blasanego snura połizać językiem. Co potem z tego było, to wam nie powiem choćby tak na złość, bo się wstydzę. Przytykaliśmy ten snur raz wzdłuż, raz w poprzyk, a potem popatrzył się łomenter do jakiegosik lusterka i pada co gruska rośnie akuratnie w samym śrôdecku na miedzy, i ze aby była zgoda, to nima innej rady ino gruskę ściąć.

— Poco ściąć! naco ściąć! Ja nie dam ściąć, — darli się gospodyni. Gruska jest moja i kuniec!

— Ależ słuchajcie gospodyni, — pada łomenter, — gruska jest w samym środku, i na to nic nie poradzicie. Pogódźcie się dobrowolnie do połowy owocem, albo co drugi rok.

— A ino! do połowy! — pogrzyźnieli się gospodyni. — Raz będzie urodzaj, raz nie będzie nic. A kiedy będzie niby lo mnie, to se Cabon gruski w nocy obedrą i spółkę djobli wezmą...

Cabon bez cały cas zadnego gadania nie mówił ino se załozył ręce za plecami i śmiśnie rusał wąsikami, ze jaze sam łomenter sie uśmiechował.

Jaz potem pacnął sie łomenter w coło palicem i tak pada:

— A więc, jest tak: Gruska jest wspólna, i jednakowe macie do niej prawo, ale jedno z was może się zrzeknąć tego prawa do gruski za pewnem wynagrodzeniem.

— A dobrze, padają Cabon: Dałbym parę złotych, gruskę bym se ścion i zrobił se z niej galante sanie i podkulki do wozu.

— Ja niedam ściąć gruski, wrzasnęli gospodyni, bo to moja gruska.

— No, więc dobrze, pada łomenter, gruska niech zostanie przy was a Cabanowi dajcie jakie odcepne i zkońcona parada.

— A niech kostuje co chce, bo gruska jest moja!

Kaśce tym casem nos zesinioł i zacena nią frybła trząść, tak zadarła se ogon do góry i pogziła się do domu.

Łomenter wykręcił se gembę do Cabana i pada:

— To ileż chcecie odstępnego?

Jo tam duzo nie kcę, padają Cabon, ot tak z jakie 15 zł.

— Ani się śni zaskrzeceli gospodyni. Piętnaście złotych niedom, najwyżej półtory dziesiątki.

Cobon i łomenter roześmiali się, z cego gospodyni jesce bardziej się rozeźlili i padają:

— Mądryście wszyscy! Jo se w kase napluć nie dom. Chcecie półtory dziesiątki to dom, a jak nie to nie i kuniec.

— Ja niechcę półtory dziesiątki, bo sumiennie należy mi się pietnaście zł. upierają się Cabon.

Gospodyni pocerwienieli ze złości jak jegomoś-

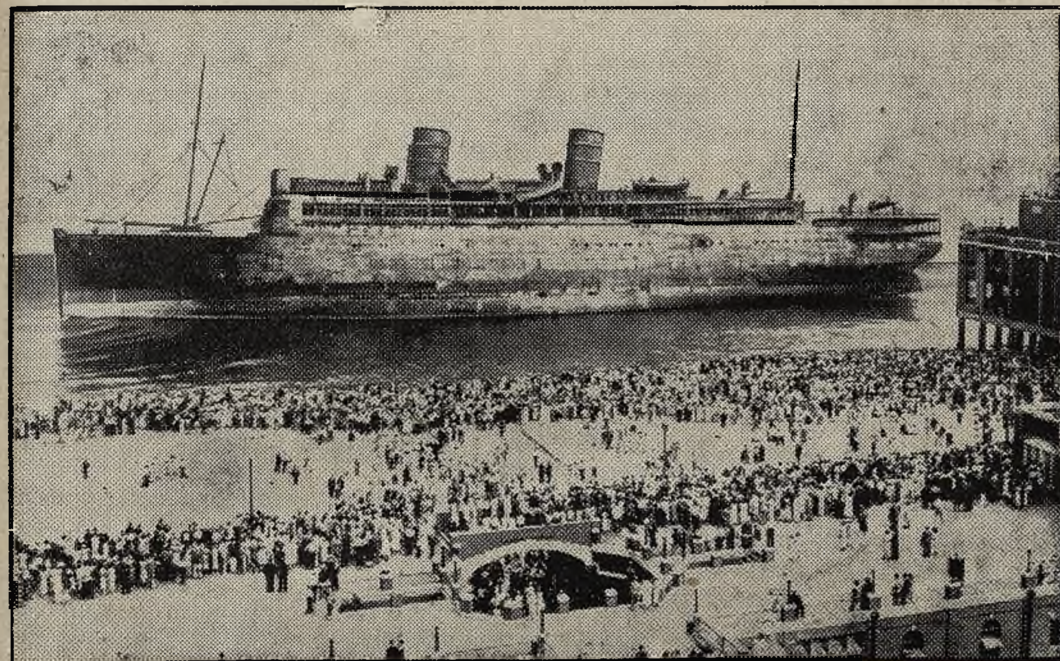
ciów jendyk, ze jas potem Cabon wzienł i zgodzili się na te półtory dziesiątki. Koniec był taki, że łomenter za zmirzanie i dobrą radę wzion półtory setki, a Cabon za odcepne półtory dziesiątki.

Wieczorem przyśli do nas Cabon po piniądze i padają co krzyne są poskodowani, a w duchu okrutecnie byli radzi co im się taka gratka za besdurno trafiła. Kiedy se juz piniądze za pazuchę schowali tak zaceni:

— Bo to coście, niby, co do tego wszyćkiego, to na mój głupi rozum, moglibyśmy się byli i bez łomentra tak pogodzić i toby tyle nie kosztowało.

— A rzeczywiście mój sąsiedzie, padają gospodyni, — i cosi żałośnie się zamyślili.

A teraz pytam się was sanowni cytelnicy, cy to casem nie lepi pogodzić się w sąsiedztwie dobrowolnie, a oscędziłoby się i wstydu i grosa i obrazy Boskiej, cego wam z całego serca życe. Amen.



Kadłub spalony okrętu „Morro Castle“

Do portu New Jersey przycholowano kadłub spalonego okrętu »Morro Castle«, na którym wskutek pożaru znalazło śmierć 170 osób.

Tłumy ludzi, nawet z odległych stron, przybyły oglądać dzieło zniszczenia, jakiego dokonał w ciągu godziny szalejący pożar. Między ciekawymi znajduje się wielu rozpaczających nad brzegiem morza po stracie członków rodziny. A byli i tacy, którzy usiłowali rzucić się w morze.

Wspomnienia z powodzi.

Gdy nas spotykają jakie nieszczęścia, chociaż się nam zdaje, że nie mamy wielkich występków do opłakiwania, jednak nie użalajmy się, boć, wiemy, że to nie ślepy przypadek, ale pełna miłości Opatrzność Boska kieruje wypadkami naszego życia. Bóg, co teraz przypuszcza na nas cierpienia, potrafi one pokierować ku naszemu większemu dobru: cierpienia i przeciwności przyniosą nam wielkie korzyści, one bowiem nasze występki przydużą, nasze cnoty wzmocnią, naszą duszę oczyszczą i zrobią ją godną swego Stwórcy.

16 lipca b. r. w czasie powodzi, pobożni mieszkańcy domu we wsi Klęczany, powiecie nowosądeckim, mający pod jednym dachem izbę, kuchnię i stajenkę, gdy już woda zalała w kuchni po okna i do góry się podnosiła, oni z dziećmi wyszli na piec, trzymając w ręku obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej, prosili gorąco o ratunek. Nie byłoby to jeszcze takim wielkim cudem, gdyby był ocalał cały dom, ale to, że woda z jednej strony oderwała ścianę od izby, z drugiej strony od stajenki i uniosła, a kuchnia w środku z nimi została nietknięta. Gdy jeden z dzienników o tem napisał, przyjechał gwardjan klasztoru kalwaryjskiego na sprawdzenie i wobec księdza proboszcza i wikarego tej parafji, stwierdził ten cud pod przysięgą wiarogodnych świadków. Zrobiono zdjęcie, tj. odfotografowano ten dom. A gdy kompanja z tej parafji szła, jak zwykle co roku pieszo około 10 mil do Kalwarji na odpust Wniebowzięcia Matki Boskiej, ci cudem ocaleni poszli z nimi, by podziękować Matce Boskiej za tę łaskę i gdy się zgłosili w zakrystji, księża kalwaryjscy ich mile przyjęli, cud ten na kazaniu ogłosili, obraz ten na pamiątkę w klasztorze powiesili, widokówki czyli fotografje tego domu rozdawali by tem więcej pobudzić do ufności w Tej, która tam od wieków słynie łaskami.

W jednej parafji był dom przy kościele, a w nim wielka sala na zgromadzenia. W niej młodzież urządzała sobie zabawy taneczne w niedzielę od wieczora do późnej nocy. Ludzie dobrej woli boleli nad tem zgorszeniem parafji, nawet i 15 lipca to się powtórzyło, ale 16 lipca w czasie tej powodzi, mała rzeczka obok płynąca, zmieniła swój kierunek, uderzyła na ten dom, lipę przy nim z korzeniami jak patyk uniosła, dom podmuliła i na ziemię go obaliła i tym sposobem to źródło zgorszenia przestało istnieć.

Zaś w górach tej parafji jedna osoba bardzo wiele cierpiała od domowników i często wzdychała: „Żeby się to wszystko za moją krzywdę zapadło!“ W czasie tej powodzi, usunęła się góra z lasem, zmiotła pole do samego domu i zostali bez dachu nad głową i środków do życia. Lud widzi w tem moc i sprawiedliwość Bożą.

Z wielu utopionych w czasie tej powodzi wielka dla nas nauka :„Czuwajcie bo nie wiecie dnia ani godziny“.

Rok temu zaszedłem w rozmowę z jednym sławnym i religijnym doktorem, o kryzysie poszczególnych krajów, a i Ameryki, która obfitowała w zarobki i bogactwa i pyta się mnie dlaczego się to tak stało? Ja wyszczególniam powody, a on mi powiada: „Nie, mój panie! Pan Bóg jest dobrotliwy, ale i sprawiedliwy. W niedzielę i święta bawili się, hulali, Samemu Bogu bluźnili o kościele ani mowy, jak i tu nie

jeden, gdy jest zdrów i dobrze mu się powodzi, zapomina, że jest katolikiem, że lada chwila Bóg powie: „Zdaj liczbę z włodarstwa twojego, albowiem już więcej włodarzyć nie będziesz“.

I w tym Starym Zakonie, gdy to jeszcze lud izraelski był narodem wybranym i wiernie służył Panu Bogu, Bóg mu błogosławił, a gdy grzeszył, zsyłał nań klęski i kary, a wreszcie, gdy nie wierzyli w Pana Jezusa, jako Mesjasza przepowiedział im karę zburzenia Jerozolimy i spełniło się, bo wzięto ich do niewoli 97 tysięcy, zginęło ich w oblężeniu 1,100.000, z miasta kamień na kamieniu nie pozostał, do dziś dnia są tułaczami po całym świecie. Gdyby i dzisiaj szanowano przykazania Boskie, nie byłoby kryminałów, wojen i tyle złego“.

Żalił się jeden parafjanin przed swym ks. proboszczem, że teraz bieda na wsi bez pieniędzy, a on mu mówi: „Ja tu jeszcze biedy nie widzę, dziewczęta, kobiety, lakierki, stroje nad stan na przedstawieniach, zabawach tanecznych zawsze pełno“. I słusznie

Dotkniętym powodzią idzie Rząd Polski i różne kraje z pomocą i odszkodowaniem, chociaż może nie całkowitem. Te zniszczone drogi, tory kolejowe, to klęska kraju, ale i zarobek dla bardzo wielu biednych.

Miejmy zawsze w pamięci prawdy naszej wiary św.: „Pan Bóg wszystko stworzył i utrzymuje, jest sprawiedliwym Sędzią, który nagradza za dobre, a za złe karze“. Nad to słowa psalmisty Pańskiego:

Szczęśliwy każdy, kto się boi Pana,
Idąc w swej drodze, jak ci przepisana.
Szczęśliwy i nie zna kaźni, (kary),
Kto w Pańskiej żyje bojaźni.

Józef Serafin.

MARJAN BOŃCZA.

Zbój Świętokrzyski.

Powieść.

I.

Powiadają, że Pawlak, Mielczarek, Kalinowski lub Orłowski, byli zbójcami w wielkim stylu. Nie przeczę, że to przemyślni łotrzykowie, ważący się na wielkie zbrodnie, ale daleko im przecie do onych zbójów z czasów nieco dawniejszych.

Ot, niedaleko szukając, każdy ze starszego pokolenia mieszkańców okolicy Bodzentyna, Słupi, aż pod Opatów, odrazu wskaże nazwisko głośnego zbója Bogusławskiego. Wszak to nie upłynęło jeszcze pół wieku, jak matki wiejskie straszyły swe dzieci owym głośnym opryszkiem. Sam pamiętam, gdy mnie pięcioletniego pędraka, beczącego najczęściej z powodu jakichś grymasów, ciszyła zwykle stara Wawrzyńcowa piastunka, mówiąc:

— Płacz, płacz, przyjdzie Bogusławski, to cię porwie do lasu.

A przecież, wówczas po strasznym zbóju może tylko już szkielet gdzieś tam się bielił...

Herszt bandy rozbójniczej grasował we wspomnianej okolicy w latach od 1805 do 1815 roku. Przez ten lat dziesiątek musiał się dobrze wszystkim dać we znaki, kiedy tak długo o nim pamiętano. I czasy, i teren, wśród którego Bogusławski operował, zapewniały mu długo bezkarnie istnienie. Była to przecie epoka w kraju dość burzliwa, a wiadomo, że dla zbójów każda zawierucha wojenna stanowiła porę nadzwyczaj sprzyjającą. Powtóre, gęste bory w górach Świętokrzyskich były wielce dogodną kryjówką dla organizowania bandy i prowadzenia formalnej partyzantki zbójeckiej.

A jakie to wówczas były te bory Świętokrzyskie, o tem z obecnego stanu lasów, któremi są jeszcze Góry Łyse pokryte, nikt nie może mieć pojęcia. Była tam istna puszcza, ciągnąca się na przestrzeni wielu mil i bokiem swym, prawie łączna z niemniej gęstemi lasami iłżeckiemi. W borach tych i górach chronili się tylko zwierz dziki i zbóje, pewni bezkarności, szukali nieznanych i niedostępnych dla innych kryjówek. Wszak jeżeli przedsiębrane od czasu do czasu wyprawy chwytały którego z opryszków, to jedynie na równinach, w wioskach, nigdy zaś w górach lesistych. Opryszek tropiony, jeżeli zdążył dostać się w gąszcz boru, zapadał tam bez śladu.

Razu jednego major Chwalczewski, dowódca batalionu, konsystującego w Opatowie, rozgniewany do najwyższego stopnia kilku zuchwałemi napadami opryszków prawie aż pod samo miasto, zorganizował wyprawę dla ostatecznego, jak mówił, wytępienia wataha zbójeckiej. Była to istotnie wyprawa wojenna, szczegółowo organizowana i według sztuki strategicznej obmyślona.

Major, wezwawszy okolicznych obywateli, polecił, aby gromady włościańskie otoczyły teren gór, poczynając od klasztoru Św. Katarzyny, pod Pokrzywnicę z jednej, a pod Łagów z drugiej strony. Tam-to bowiem znajdowało się legowisko zbójów i tam major Chwalczewski nieomal z całym batalionem pójść postanowił, zostawiając w mieście małą tylko załogę, złożoną z kilkudziesięciu żołnierzy, prawie samych inwalidów.

— Wykurzę ich, jak lisów z nory, i raz temu hultajstwu koniec położę — mówił zuchowato major Chwalczewski.

Nietylko szlachta, ale i lud wiejski, terroryzowany przez opryszków, chętnie pomagał w wyprawie na zbójów.

A przecież wyprawa ta haniebnie się zakończyła. Bogusławski o wszystkiem był przez sprzyjających mu tu i ówdzie ludzi uprzedzony, i gotował dla gości, chcących go odwiedzić, okropne przyjęcie. Mając sporo czasu, bo wyprawa organizowała się blisko przez trzy tygodnie, urządził w wąwozie, nieopodal Jeleniej góry, straszną zasadzkę. Wszyscy zbóje, a było ich zgórą stu, dzień i noc pracowali nad poruszaniem z posad ogromnych kamieni z obu wyniosłych brzegów wąwozu, oraz podcinali olbrzymie buki i sosny.

Zuchwały herszt nie myślał poprzestać na samem odparciu wyprawy, lecz jednocześnie postanowił z zaatakowanego stać się atakującym.

Zostawiwszy w zasadce połowę swej bandy, tego samego dnia, gdy major Chwalczewski wyruszył z Opatowa i był już pod Słupią, Bogusławski z drugą połową, przesunął się wąskim, nikomu nieznanym przesmykiem leśnym, o kilka staj zaledwie, od oblegających bór wieśniaków.

Zbóje, ubrani w siermięgi chłopskie, po dwóch lub trzech, sunęli ku Opatowu, niczyjej, po drodze, nie zwracając na siebie uwagi.

Dopiero, gdy zmrok zapadł, zebrali się wszyscy w umówionym zawczasu punkcie, i wydobywszy ukrytą pod siermięgami broń palną i sieczną, wtargnęli o północy do miasta, w głębokim śnie pogrążonego.

Zanim warta na odwachu uderzyła na trwogę, a zbudzeni inwalidzi wybiegli z kwater, na odgłos bębna i wystrzałów, Bogusławski ze swoją bandą trupem położył kilku żołnierzy, zabrał kasę batalionową, zrabował sklep słynnego podówczas w Opatowie kupca, Jeremiasza Szpiry, i w niespełna godzinę, kiedy już bito w dzwony kościelne, a wszyscy mieszkańcy wybiegli z mieszkań, opryszków nie stało.



Na kolanach błagała, by nie robiono krzywdy mężowi.

Bogusławski, uchodząc po tym zuchwałym napadzie, porwał z sobą rajcę miejskiego, Domaradzkiego, który najczynniej ze wszystkich pomagał majorowi w wyprawie na zbójów. Kiedy Domaradzkiego, wyciągniętego z pościeli, porywano, żona jego padła przed Bogusławskim na kolana, błagając o nierobienie krzywdy mężowi.

— Jeżeli za dwa tygodnie na jarmarku w Iłży wręczysz człowiekowi, który od ciebie będzie chciał kupić konia, tysiąc dukatów, mąż wróci, a inaczej...

Tu Bogusławski przesunął rękę po szyi, wskazując wymownie, co, w razie niezłożenia okupu, może spotkać nieszczęśliwego rajcę.

Domaradzka święcie warunek postawiony przez herszta spełniła, i rzeczywiście, nazajutrz po wręczeniu okupu, Domaradzki, po dwutygodniowej niewoli u zbójów ,zbiedzony, zmizerowany, ledwie żywy, do domu powrócił.

Wówczas, kiedy się dokonywał zuchwały napad opryszków na Opatów, w wąwozie pod Jelenią górą rozegrała się krwawa scena. Zaczajeni z obu stron wysokich ścian wąwozu zbóje, przeczekawszy aż cały oddział znajdzie się w zasadce, zepchnęli owe zawczasu poruszone olbrzymie kamienie i powyrywali kilku uderzeniami siekier wcześniej podcięte drzewa.

Około stu żołnierzy poniosło śmierć na miejscu, a drugie tyle pozostało rannych. Reszta w szalonym popłochu cofnęła się, unosząc majora Chwalczewskiego, który miał zgniecioną nogę,i tę później aż po biodro, musiano mu amputować.

Polegli wówczas w owym wąwozie dwaj rodzeni bracia Józef i Karol Przyłęccy, właściciele wsi Górne, którzy na ochotnika przyłączyli się do wyprawy, tak fatalnie zakończonej.

Miała wyprawa jeszcze i ten zgubny skutek, że rozzuchwaliła opryszków do najwyższego stopnia. Bogusławski urósł w oczach wieśniaków, jako potęga, niczem nie dająca się pokonać, skoro nawet wojskowi ludzie nie mogli mu poradzić. Herszt przecie był o tyle sprytny, że się spodziewał nieuniknionego odwetu, albowiem i w Radomiu, i w Kielcach, los batalionu Chwalczewskiego, oraz smutne kalectwo majora, obudziły nadzwyczajne przerażenie i postanowienie ścigania zbójów wszelkiemi możliwemi środkami.

Jakoż, w niespełna dwa miesiące po opisanem zdarzeniu, pochwycono około 40 opryszków, którzy stopniowo zostali powieszeni na rynku w Opatowie. Tylko Bogusławskiego, mimo nałożenia znacznej za jego głowę nagrody, nie zdołano ująć. Herszt, opuściwszy resztę bandy na czas dłuższy, dopóki trwała owa niezmordowana nagonka, zniknął gdzieś bez śladu.

Jedni mówili, że został zabity przez któregoś zbuntowanego towarzysza, inni opowiadali, że uciekł za granicę, gdzie dostatnio, dzięki zebranym łupom, żyje i odgrywa rolę wielkiego magnata. Wszyscy przecież radowali się, że demoniczny herszt zbójecki przestał nareszcie grasować.

Ale radość ta niedługo trwała. Nie minęło dwóch lat, gdy Bogusławski znów się u podnóża gór Świętokrzyskich pojawił i dał znać o sobie kilku zuchwałemi napadami na okoliczne dwory szlacheckie.

O jednym z takich napadów, połączonym z wielce romantyczną przygodą, pragniemy opowiedzieć na podstawie relacji wnuka osoby, mającej spotkanie z hersztem opryszków oko w oko, spotkanie, które wywarło decydujący wpływ na dalsze jej życie...

II.

Między Suchedniowem, dziś stacją kolei dąbrowskiej, a miasteczkiem Bodzentynem niegdyś grodem biskupów krakowskich i od słynnego Bodzanty biorącym nazwisko, leży wieś Wzdół. Nazwa jej niewątpliwie od właściwości terenu pochodzi. Cała wioska położona jest między wzgórzami, w rozdole, tworzącym w kilku punktach wąwóz dość szeroki. Sam rozdół odznacza się również licznemi nierównościami i pochyłościami. Gdy kilka chat znajduje się na niewielkiej płaszczyźnie, dalsze znów domy wyżej na wyniosłym pagórku zbudowano. Takich pagórków jest we wsi kilka, a na dwóch najwyższych, prawie przeciwległych, oddzielonych wąwozem, znajdowały się: kościół i dwór.

Wzdół był własnością p. Piotra Jeżewskiego, podżyłego już, lecz jeszcze krzepkiego szlachcica. Stary barszczanin miał w całej okolicy wielkie poszanowanie, chociaż od lat kilku stracił wiele na popularności, z powodu, że nie podzielał ogólnego zapału dla Napoleona. I nietylko nie podzielał, ale żywił ku niemu jawną nienawiść, nigdy inaczej cesarza francuzów nie nazywając, jak tylko rozbójnikiem korsykańskim.

— Bójże się Boga, rotmistrzu — bo z taką rangą Jeżewski ostatecznie pod Maciejowicami służbę wojskową opuścił — jakże można genjalnego wodza i naszego salwatora tak posponować — wymawiali p. Piotrowi zgorszeni sąsiedzi.

— Jaki on tam salwator... Tumani wszystkich, a wojny prowadzi dla zadowolenia tylko własnej ambicji — odpierał stary rotmistrz.

— No, a Księstwo Warszawskie? To przecież dopiero początek, zobaczymy, co będzie dalej. Na razie dobra psu i mucha — argumentował, p. Walenty Kruszewski, sąsiad z Psar.

— Ja tam nie pies, żebym się muchą kontentował — odburknął rotmistrz.

— Ale, że genialny wojownik, to już chyba sąsiad musisz przyznać...

— I Bogusławski w swoim rodzaju pokazał genialność, kiedy odpierał tego biednego majora Chwal-

czewskiego, a jednocześnie napadał na Opatów — rzekł uparty rotmistrz.

— To już za wiele. Jakże można Napoleona porównywać z opryszkiem? — gorąco protestował Kruszewski.

— Obaj djabła warci; i ten korsykański, i ten nasz świętokrzyski są tylko zbójami — perorował również gorąco Jeżewski.

Sprzeczka sąsiadów, nieraz bardzo ognista, zawsze się przecież kończyła zgodnie, obaj bowiem zanadto się szanowali i kochali, aby zrywać z sobą.

Ale cała szlachta okoliczna boczyła się na rotmistrza z powodu tej „napoleonofobji" i powoli dwór we Wzdole począł pustoszeć. Z wyjątkiem rodziny Kruszewskich z Psar, dalej dzierżawcy starostwa bodzentyńskiego i kapelana z klasztoru Św. Katarzyny Panien Bernardynek, nikt we Wzdole nie bywał.

Nawet proboszcz miejscowy, zapalony napoleończyk, zerwał z kolatorem stosunki towarzyskie, chociaż pan rotmistrz przekonywał go, że nie powinien się ujmować za rozbójnikiem korsykańskim, który Ojca Świętego więził i duchowieństwu czynił różne wstręty.

— To było dawniej, ale teraz się poprawił i jest wiernym synem Kościoła — tłómaczył ksiądz proboszcz.

— Bo chytremu lisowi tak wypadło z polityki.. Pan Bonaparte jest takim katolikiem, jak ja chińskim mandarynem — mówił po swojemu pan Jeżewski...

Gdyby nie znano przeszłości rotmistrza, który krwią swoją, a nie czczem szermowaniem języka, złożył dowody, niewątpliwie zostałby okrzyknięty za zdrajcę, za sprzedawczyka... Ale tego nikt by się nie ośmielił powiedzieć, tylko, gdy była mowa o rotmistrzu, znacząco kiwano głowami.

— Ot stary dziwak i oryginał, poplątały mu się wszystkie klepki w głowie...

Jeżewskiemu początkowo o stosunki sąsiedzkie wcale nie chodziło. Stary żołnierz Pułaskiego nie był zwolennikiem ani pijatyk, ani gry w karty, a pusta, krzykliwa rozmowa współwierników nigdy mu nie sprawiała przyjemności. Gospodarka na ojczystym zagonie, czytanie ulubionych poetów: Kochanowskiego i Krasickiego, oraz Plutarcha i Skargi, czasami polowanie gawęda z panem Walentym, a najczęściej rozmyślanie o przeszłości, wypełniały rotmistrzowi życie bez tęsknoty za gwarnem towarzystwem, z którem się schodził przecież od czasu do czasu w Psarach, albo na odpuście w gościnnych progach księdza kapelana, w klasztorze Panien Bernardynek.

Ale przyszła taka chwila, że to odosobnienie stało mu się przykrem. Nie dla siebie, broń Boże, ale dla córki jedynaczki. Rotmistrz, późno się ożeniwszy, w cztery lata po ślubie utracił ukochaną towarzyszkę życia, która mu zostawiła córkę.

Ta dziecina była dla zgnębionego wdowca jedyną pociechą w ciężkim smutku. Sprowadziwszy do Wzdołu daleką krewną, jej powierzył wychowanie dziewczątka, lecz kształceniem umysłu córki sam się zajmował. Nie chciał swej jedynaczki posłać na pensję i nie chciał sprowadzać do domu guwernantki.

— Niech się tylko tego nauczy, co ja sam umiem, nic jej nie będzie więcej potrzeba — mawiał rotmistrz.

I rozeszło się po okolicy, że pan Jeżewski po kilka godzin dziennie bakałarzuje swój córce, ucząc ją matematyki, łaciny, ba! nawet strategji... W pogłoskach tkwiła przesada, ale to było faktem, że panna Michalina w 18 roku swego życia czytała w oryginale Cezara „de Bello Gallico", ody Horacyusza i mowy Cycerona. Z matematyki, oprócz czterech działań i ułamków, innych wiadomości nie posiadała. Obok łaciny, po francusku, chociaż bez akcentu paryskiego, mówiła dobrze, bo pan Piotr i tego języka w czasie tułaczki wyuczył się doskonale.

Ale co jedynaczka pana rotmistrza wybornie, lepiej z pewnością, niż wszystkie jej rówieśniczki, znała, to dzieje ojczyste i arcydzieła piśmiennictwa swojskiego i obcego...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wieczór.

I.

Stasia wyszła przed dom, okolony gęstym ogrodem, który oddychał ciężko wonią owoców dojrzałych. Cudny, sierpniowy wieczór opadał nad wieś i mrok sypał się, jak piasek na ziemię z niewidzialnych rąk.

Wieś w taki wieczór jest spokojna i syta. Sielska i szczęśliwa, kładąc się do snu po całodziennej, żmudnej pracy. Ociężałość, jakaś wisi w powietrzu, jak w ruchach spracowanego kmiotka — i tylko czeka, kiedy zabłysną dalekie gwiazdy, migotliwie i cisza szalem nocy owinie dachy słomiane.

Rozmarza taki wieczór i przelewa się winem po kościach — to też na progu chaty siedzi niejedna dziewczyna i wpatruje się w mrok, jakby chciała rozedrzeć ciemną jego kurtynę, za którą znajduje się marzenie jej — ideał wymarzonego serduszka: chłopiec — na, którego przyjście czeka z bijącem sercem.

Stasia wyfrunęła, jak ptak prosto w ogród i położyła się na gęstej trawie pod gruszą

O, jakże dobrze jej i lekko...

Miękka — zroszona lekko trawa, chłodziła jej jędrne, wibrujące krwią ciało i napełniała ją rozkoszą dojrzałych pól i ogrodów.

Pochwyciła soczystą gruszkę, upadłą przed nią ciężkiem pacnięciem i wpiła się rozkosznie w miąższ soczysty i winny — odurzający prawie dosytem, jak narkotyk.

Przymkła oczy i roztopiła się w cichości wieczoru i dała się kołysać monotonnej melodji zmroku, która grała jej w tętnach hymn miłości i szczęścia.

Czekanie napełniało ją dreszczem rozkoszy, który przelewa się w żyłach melodją bajki i legendy.

II.

O jakże życie jest innem, na tle przyrody. Kontrastujące rzeczywistością, jak plama czerwonej krwi na nieskalanej bieli śniegu.

I, jakże są serca inne, niedające się rozwiązać logicznym rachunkiem rozumu.

Wyobraźmy sobie, że polną drogą od wsi idzie chłopak na spotkanie dziewczyny, która czeka go w rozmodlonem szczęściu w ogrodzie — w ogrodzie z bajki sierpniowego wieczoru.

Wie, że Stasia czeka go, jak zawsze z tęsknotą i wyczekiwaniem.

Czy jest szczęśliwy i radosny?

Oto wybiega na spotkanie szelestu jego kroków, po szeleszczącym cicho ogrodzie i szczęśliwa rzuca mu się na szyję.

— Władziu! czemu tak późno dziś przyszedłeś? Rodzice kładą się już spać... Nie mogłam się doczekać na ciebie... Siadaj teraz ze mną i będziemy sobie dużo mówić... o miłości i szczęściu naszem Władziu...

— O szczęściu... co ty nazywasz szczęściem?

— Jakto Władziu? — nie pamiętasz, jak sam mówiłeś tak ślicznie, że tylko słuchać, słuchać, aż do utraty tchu...

Usiedli na trawie.

— Tak! wy kobiety nazywacie szczęściem to, co łoga.łza waszej ambicji i próżności.

— Władziu! Co ty mówisz?! — Objęła go rękami, usiłując pocałować go w usta.

Odepchnął ją dość brutalnie ręką.

— Odejdź! To co było między nami — nie powtórzy się już więcej. Czuję, że nie kochałem cię nigdy — i nie będę.

Wiatr zaszeleścił gałęziami gruszy cicho i płaczliwie.

— Władek! — zerwała się z trawy. — Wiem, wiem wszystko. Zbałamuciła cię Władka. — Wiem wszystko... o o!... tak!

— Wiesz?! — Tem lepiej. Daj mi spokój. Przyszedłem ci powiedzieć, że między nami skończone...

Wiatr zaczął dąć silniej w gruszę zwiastując burzę. Skądś — z oddali — z za lasu dochodził głuchy grzmot i niebo krwawiło się błyskawicami.

— Do widzenia!

— Władziu! więc naprawdę?!..

Wiatr rozwiewał jej włosy, oczy płonęły rozpaczliwym żalem i niemocą. — Chwyciła go jeszcze za rękę.

Odtrącił ją brutalnie, że potoczyła się i oparła o gruszę. — Zerwała się naraz z wyciągniętemi rękami do niego. Pochwyciła tylko w ciemności pień grubej jabłoni.

Władka nie było nigdzie.

A wiatr targał warkocze grusz i jabłoni coraz mocniej. Oślepiające błyskawice rozdzierały gęsty mrok. Po chwili upadły grube krople deszczu i ulewa poczęła huczeć w ogrodzie, opętańczo przy krwawych błyskawicach.

Ogród szumiał — i jakby łkał...

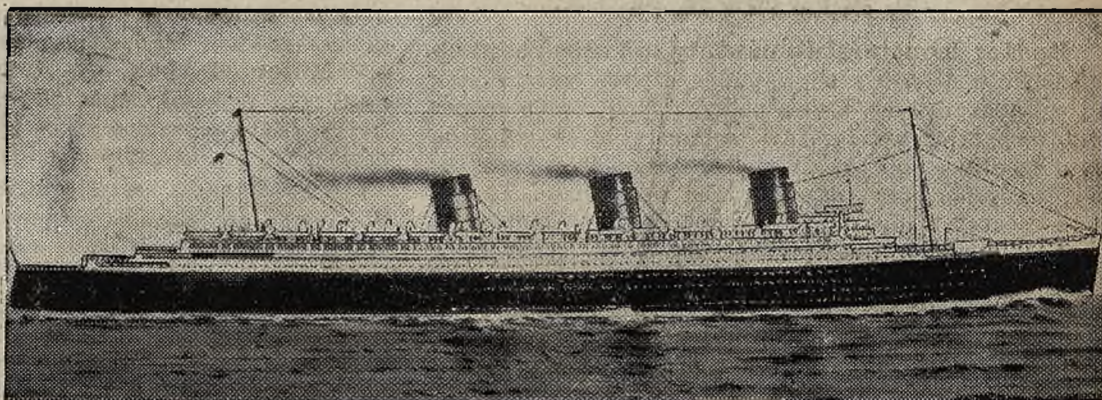
I łkało rozdarte porzucone serce.

Wincenty Kuglin.

Znów kolos morski

spuszczono na wodę.

Czy dla koniecznej potrzeby, czy też tylko dla dania bezrobotnym robotnikom zatrudnienia, zbudowano w Anglji nowego kolosa morskiego i spuszczono onegdaj na wodę. Okręt ten ma 73 tysiące ton pojemności.





Poradnik gospodarczy.

Liście drzew jako ściółka.

Liście i szpilki leśnych drzew liściastych i szpilkowych, niemniej mech i łodygi wielu roślin, rosnących w lasach, służą w lesistych okolicach naszego kraju w bardzo wielu gospodarstwach włościańskich jako ściółka dla zwierząt domowych. Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby tego rodzaju materjał ściółkowy nie miał żadnej wartości użyźniającej, każdy bowiem liść, czy też szpilka chociażby nawet dłuższy czas na działanie wody deszczowej, a tem samem na wypłukanie były wystawione, zawierają przecież choć w małych ilościach, pewne składniki, które się do używania ziemi w mniejszym lub większym stopniu przyczynić mogą. A jednak ściółki takiej nie można rolnikom naszym bezwarunkowo zalecać, jak to zaraz zobaczymy.

Liście i szpilki lasowych drzew zawierają w porównaniu ze słomą mniej więcej około połowy tych składników, które jako pokarm roślinom mogą służyć i to tylko wtedy, gdy wodą deszczową nie zostały znacznie wypłukane, w tym bowiem ostatnim razie nie zawierają nawet i dziesiątej lub jeszcze mniej części tego, co słoma zawiera, a już z tego samego powodu są one niewiele warte. Oprócz tego rozkład liści i szpilek odbywa się w ziemi znacznie powolniej niż słomy, zwłaszcza liści, bogatych w jakieś części garbnikowate, jak n. p. liście dębów, olch i t. p., zaś do pochłaniania gnojówki są liście znacznie mniej przydatne niż słoma, a przecież pochłanianie gnojówki, przez ściółkę jest, jak już wiemy, jednym z celów, dla których ściółki pod zwierzęta wogóle używamy. Stałe odchody zwierzęce zbijają się w braku słomy, a przez zmięszanie z liśćmi a także z mchem, w bryły, które na polu trudno rozdzielić, a stąd i nawożenie bywa niejednostajnem.

Jak już z tych uwag wynika, liście i szpilki nie przedstawiają wcale tak bardzo dobrego materjału ściółkowego, za jaki od wielu włościan niesłusznie bywają uważane.

Używanie liści i szpilek drzew lasowych na ściółkę pod zwierzęta jest jednak pod pewnemi względami nawet szkodliwe. I tak, gospodarz mniej oświecony, jak n. p. wielu jeszcze włościan, a który ma łatwą sposobność przygotowania sobie znaczniejszej ilości takiej ściółki na zimę, przyzwyczaja się do niej zbytnio i nie myśli wcale o podniesieniu do tego stopnia żyzności swojej ziemi, ażeby potrzebną ilość

słomy z własnego obszaru zbierać. Większe szkody ponosi jednak bogactwo krajowe przez zabieranie z lasu liści i szpilek, które są jedynym lasowym pognojem, wszak i drzewo wymaga pokarmów podobnie jak pszenica, jęczmień i t. d. Ogałacanie ziemi lasowej z liścia pozbawia ją możności wytwarzania znanej nam już pruchnicy i pożywienia dla drzew, które w braku tegoż nie rosną, bo ziemia jałowieje, a jeżeli takie zabieranie liści z lasów we wielkich rozmiarach się odbywa i długi czas trwa, następuje ogromna, a niekorzystna dla całej okolicy zmiana, bo brak drzew i pruchnicy w lesie, przyczyniających się, jak wiadomo, do zatrzymywania znacznych ilości wilgoci, staje się powodem częstej posuchy i silnych mrozów, a jeżeli okolica jest pagórkowatą lub górzystą, wówczas i wylewy wód dają się często we znaki, gdyż ziemia, pozbawiona na znacznej przestrzeni drzew i pruchnicy, stanie się niezdolną do zatrzymania w sobie większej ilości wody, która też po takiej ziemi szybko spływa i duże szkody wyrządza.

Na podstawie tedy powyższych uwag, możemy śmiało orzec:

1. Ściółka z liści i szpilek drzew lasowych nie zastąpi ani w połowie zwykłej słomy zbożowej i powinna być tylko w razach konieczności, jak n. p. w roku posusznym i t. p. używaną.

2. Liście i szpilki drzew lasowych, mech oraz inne zielne rośliny lasowe, może i powinien rolnik zbierać dla swego gospodarstwa, ale głównie w celu robienia z nich kompostu, jednakże tylko z takich obszarów, na których owa ściółka lasowa jest dla lasu nieużyteczną, n. p. na drogach, w rowach, wąwozach i t. d.

3. Na podściółkę leśną nie powinien się żaden rolnik spuszczać co roku, lecz dbać o użyźnianie i dobrą uprawę pługiem i broną swej ziemi tak, ażeby potrzebną mu ściółkę miał zawsze w swojej stodole. Który rolnik ciągle na lasową ściółkę spuszcza się, ten jest kiepskim gospodarzem.

KRONIKA.

Budżet ministerstwa oświaty ma ulec redukcji. Niedobór w budżecie Ministerstwa oświaty wynosi około 18 miljonów złotych. Celem pokrycia tego niedoboru projektowane jest wstrzymanie automatycznych awansów nauczycielstwa lub redukcję sił nauczycielkich, albo też wprowadzenie specjalnego podatku na oświatę., od którego ludność biedna musiałaby być chyba uwolniona, co znów nie jest na rękę rządowi, bo dzieci rodziców ubogich pobierałyby naukę darmo, a takich dzieci obecnie iest najwięcej.

Drogi gromadzkie. Ministerstwo spraw wewnętrznych przygotowuje projekt rozporządzenia o organizacji i zakresu działania gromady. Ze strony samorządowej wystąpiono z postulatem, aby na gromady nałożyć obowiązek budowy i utrzymania pewnych dróg które otrzymałyby nazwę dróg gromadzkich. W ten sposób powstałaby w Polsce nowa kategorja dróg publicznych. Celem podołania tym obowiązkom, gromady miałyby otrzymać uprawnienie do korzystania ze świadczeń w naturze na cele drogowe. Prawo szarwarku przysługuje dotychczas tylko gminom.

O ulgi dla powiatów dotkniętych klęską powodzi. Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej złożył prezesowi Rady Ministrów memorjał w sprawie zwolnienia powiatowych związków samorządowych, dotkniętych klęską powodzi, od świadczeń pieniężnych na rzecz Funduszu Pracy. W memorjale Związek podkreśla, że powódź wywołała z jednej strony gwałtowne obniżenie dochodów budżetowych związków samorządowych, z drugiej zaś — konieczność ponoszenia nowych, nieprzewidzianych normalnie wydatków, na usunięcie szkód, i strat, jakie dotknęły objekty stanowiące własność powiatowych związków. O wyrównaniu ubytku dochodów czy to w drodze udzielenia zapomóg, czy też operacji kredytowych nie może być mowy w obecnie istniejących warunkach. Dlatego też jedynym realnym środkiem wyjścia z wytworzonej sytuacji może być tylko zwolnienie dotkniętych katastrofą związków samorządowych od wypełniania niektórych obowiązków ustawowych. Związek Powiatów R. P. wnosi więc o podjęcie inicjatywy ustawodawczej w kierunku zwolnienia dotkniętych klęską powodzi związków samorządowych od obowiązku ponoszenia świadczeń pieniężnych na rzecz Funduszu Pracy za rok bieżący i za lata najbliższe. Ponadto Związek prosi p. premjera o wydanie zarządzeń wstrzymania poboru opłat na rzecz Funduszu Pracy do czasu ustawowego zwolnienia powiatowych związków samorządowych od ponoszenia tych świadczeń.

Miljon złotych dla powodzian. Społeczeństwo na Śląsku wykazało dużą ofiarność na rzecz powodzian. Do dnia 30 września wpływy gotówkowe ze Śląska dla powodzian przekroczyły 1 miljon złotych.

Dar rządu węgierskiego dla powodzian. W ubiegły poniedziałek przybyła z Budapesztu do Warszawy delegacja węgierska, celem przekazania Ogólno-Polskiemu Komitetowi Pomocy ofiarom powodzi 10 wagonów pszenicy, jako daru rządu węgierskiego dla powodzian.

Obrady Zjazdu pszczelarzy. Onegdaj zakończył się w Krakowie w sali Małopol. Tow. Rolniczego Zjazd pszczelarzy z Zach. Małopolski z udziałem delegatów województwa, Izby Rolniczej i Małop. Tow. Rolniczego. Obradowano nad aktualnemi sprawami z dziedziny bartnictwa i nad koniecznością szybkiego tworzenia towarzystw pszczelarskich w tych powiatach województwa krakowskiego, w których jeszcze nie istnieją. — Rok obecny był ciężki dla pszczelnictwa. Wczesna i sucha wiosna oraz słotne lato spowodowało, że rośliny nie miodowały i pszczoły nie mogły uzbierać z kwiatów miodu już nie dla bartnictwa, ale dla siebie i nie uskładały sobie zapasu na zimę. Województwo krakowskie nawiedziła też klęska powodzi, która również katastrofalnie odbiła się na stanie pszczelnictwa. Tylko natychmiastowa pomoc rządu w formie przyznania większej ilości bezakcyzowego cukru skażonego dla podkarmienia pszczół na zimę (po 6 kg. cukru na pień) mogłaby uratować zagrożone pasieki od zagłady. — Po wygłoszonych interesujących referatach na Zjeździe odbyły się wybory do wydziału. Ponadto zaktywowane zostało na Zjeździe Tow. Pszczelarskie na powiat krakowski z p. J. Karkoszką, kier. szkoły w Zielonkach jako prezesem.

Wstrząsająca katastrofa kolejowa. Ze względu na oddanie poprzedniego numeru „Roli" do druku, w ubiegłym tygodniu nie mogliśmy podać dokładnie wszystkich szczegółów tej strasznej katastrofy, która wydarzyła się na stacji w Krzeszowicach, o trzy mile od Krakowa. Na pociąg pospieszny, stojący na tejże stacji najechał z tyłu pociąg pospieszny, jadący z Wiednia. Zderzenie było straszne, pomimo, że maszynista pociągu wiedeńskiego na odległość 200 metrów zauważył przeszkodę i wprawił w ruch hamulce. Z pod gruzów strzas-

kanych trzech ostatnich wagonów wydobyto 5 trupów, zaś 5 ciężko rannych zmarło w szpitalu. Oto nazwiska zabitych: Jan Baran emerytowany konduktor kolej. ze Lwowa inwalida, dr. Dziubczyński, adwokat ze Lwowa, Ludwik Starach emerytowany starszy asesor kolejowy ze Lwowa, Jan Czech, strażnik graniczny z Myślenic, Adam Panków z Mysłowic, Hersbstówna z Gdańska, Herbst Erna z Gdańska, Janina Kowalczykówna z Katowic, studentka uniwersytetu, Agata Pilatówna, nauczycielka z Mątowa pow. Świecie i Wincenty Zajda z Makowa (Podhalańskiego). Ponadto w szpitalu znajduje się około 40 rannych pasażerów, którzy mają połamane ręce, nogi, żebra i. t. d.

Skutki zderzenia były straszne. Pasażerowie pociągu, na który wpadł ekspres wiedeński, usłyszeli na moment przed katastrofą krzyk „wysiadać“. Usłyszało go zaledwie kilka osób i wyskoczyło. Reszta pozostała na miejscach. Potem rozległ się przeraźliwy świst lokomotywy, suchy trzask i zgrzyt łamanego żelaza i drzewa. Silny wstrząs wyrzucił pasażerów obu pociągów z miejsc, niektórych zaś, zwłaszcza tych co jechali z Gdyni, porwał w potworne kleszcze kalectwa lub śmierci. Ze zmiażdżonych wagonów rozległy się jęki. Zniszczeniu uległy ogółem 4 wagony, oraz lokomotywa pociągu wiedeńskiego. Najbardziej ucierpiały dwa wagony najechanego ekspresu gdyńskiego i trzeci od końca. Nadziały się one nawzajem na siebie.

Śledztwo prowadzone wykazało, że winę katastrofy ponoszą dyżurny ruchu w Krzeszowicach Gabrjel Nieć, oraz blokowy Antoni Drabik. Obaj zostali aresztowani. Dyżurny ruchu Nieć zawinił przez to, że przepuścił nie zgodnie z przepisami dwa pociągi pospieszne przez posterunek Wola Filipowska. Blokowy Drabik, stacjonowany na bloku Wola Filipowska, położonym między stacjami Dulowa — Krzeszowice, po przepuszczeniu pierwszego pociągu pospiesznego z Gdyni powinien był czekać aż dostanie zawiadomienie ze stacji Krzeszowice, że pociąg ten minął już stację i dopiero wówczas mógł przepuścić pociąg drugi z Wiednia. Tymczasem Drabik nie czekając na takie zawiadomienie przepuścił pociąg drugi. Ponieważ pociąg z Gdyni jadący jako pierwszy zatrzymał się przed stacją w Krzeszowicach, pociąg wiedeński siłą faktu dopędził go i nie zauważywszy z powodu mgły wpadł na tylne wagony.

Skazanie notarjusza. Przed sądem okręgowym w Tarnowie toczyła się rozprawa przeciwko Wincentemu Pisarczykowi, notarjuszowi z Tuchowa, oskarżonemu o sprzeniewierzenie dwudziestu kilku tysięcy zł. Trybunał skazał Pisarczyka na $2^1/_2$ roku więzienia, 1.500 zł. grzywny, oraz utratę praw obywatelskich na lat 5.

Aresztowanie oszusta „emigracyjnego“. Policja w Tarnowie aresztowała niejakiego Zygmunta Kryńskiego, pokątnego pisarza w Pilźnie za werbowanie robotników do Francji i wyłudzanie od nich pieniędzy w formie zaliczki za wyrobienie potrzebnych papierów. Werbowanie robotników było tylko pretekstem. W ten sposób Kryński oszukał 40 osób.

Napad bandycki na młyn. Onegdaj wieczorem do młyna Weidenbauma w miasteczku Sądowa Wisznia, wtargnęło trzech zamaskowanych bandytów. Napad miał miejsce w jasny dzień, w chwili, gdy w biurze znajdowało się kilku interesantów. Bandyci obezwładnili kasjera i zrabowali z kasy około 3 tysiące zł. gotówką, poczem zaczęli uciekać. Obecni w kantorze interesanci puścili się w pogoń za bandytami. Bandyci otworzyli wówczas ogień, raniąc jednego ze ścigających. Zaalarmowana policja wdrożyła za bandytami pościg.

Napad na plebanję. W nocy z ubiegłej soboty na niedzielę, o godzinie 10 i pół, napadli bandyci na plebanję obrządku łacińskiego w Bachurzu koło Dynowa. Po silnej wymianie strzałów spłoszeni bandyci uciekli. Jest to już trzeci napad w tygodniu w tej okolicy.

Koła pociągu odcięły studentowi rękę. Na dworcu kolejowym we Lwowie wydarzył się tragiczny wypadek. Mianowicie student Akademji Rolniczej w Dublanach Dewald Nespas wsiadł przez pomyłkę do pociągu innego, niż zamierzał. Gdy pociąg ruszył, Nespas wyskoczył ze stopni wagonu, jednak tak nieszczęśliwie, że wpadł pod koła, które odcięły mu całą lewą rękę. Ponadto doznał on ciężkiego okaleczenia głowy.

Celny strzał do złodzieja. W ubiegły wtorek o godz. 4 rano zauważył patrolujący posterunkowy Chorasz z I. komisarjatu na ul. Obertyńskiej we Lwowie trzech osobników, którzy usiłowali włamać się do wozu meblowego, stojącego na tej ulicy. Złodzieje na widok, przedstawiciela władzy rzucili się do ucieczki. Post. Chorasz począł ich ścigać, wołając: „stać, bo strzelam!“ Kiedy wezwanie to nie pomogło, posterunkony dał jeden strzał w powietrze, a następnie drugi w kierunku uciekających. Strzał był celny, gdyż jeden z uciekajacych zachwiał się, a następnie upadł. Posterunkowy przybiegł mu z pomocą. Postrzelony obficie broczył krwią. Został bowiem trafiony kulą w głowę. Wezwano pogotowie, które rannego przewiozło do szpitala. W drodze jednak złodziej zmarł. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów i dlatego nie można było ustalić jego tożsamości. Towarzysze zabitego uciekli. Dalsze dochodzenia w tej sprawie w toku.

Zaginięcie gajowego. Gajowy J. Hawryłów z Kosiowej k. Skolego wybrał się 26 z. m. do służby i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Zaginięcie to powoduje najrozmaitsze wersje. Poszukiwania prowadzi policja z ludnością miejską.

Bzy kwitną. W Stanisławowie w ostatnich dniach, dzięki pięknej pogodzie zakwitły ponownie krzaki bzu.

Chciał spróbować stryczka. O rzadkim wypadku samobójstwa donoszą z miejscowości Sukiela, koło Stanisławowa. 9-letni Petro Mandryk przysłuchiwał się jak starsi gospodarze opowiadali o dziwnym wypadku. Oto zasądzonego na śmierć zbrodniarza miał już kat powiesić, gdy nagle stryczek się urwał i zbrodniarz został ułaskawiony. Pod wpływem tego opowiadania Petro Mandryk postanowił również spróbować, czy śmierć przez powieszenie jest straszna. Wszedł więc do stajni, powiesił na belce sznur i po chwili zawisł w powietrzu, nie mógł jednak uratować się od śmierci, gdyż sznur silnie owinął się dokoła szyi. Zwłoki chłopca zauważono po kilku godzinach.

Fabryka spirytusu. W Sosnowcu władze skarbowe wpadły na ślad pomysłowego „przedsiębiorcy“ spirytusu. W Ogrodzienowie niejaki B. Zarychta przy pomocy najnowszej konstrukcji aparatu oczyszczał skażony spirytus monopolowy. Oczyszczony spirytus niczem nie różnił się od monopolowego. Wiejskiego fabrykanta aresztowano.

Nieostrożność przyczyną kalectwa. We czwartek rano na linji kolejowej Kielce—Herby w odległości 5 klm. od Kielc, Stefan Kulczycki, 14 letni uczeń, zamieszkały w Kielcach, idąc do szkoły usiłował wskoczyć do przejeżdżającego pociągu towarowego. Kulczyckiemu pośliznęła się noga i wpadł pod koła wagonów, które odcięły mu nogi powyżej kolan. Nieszczęśliwego chłopca przewieziono do szpitala w Kielcach.

Z tragicznej doli bezrobotnych. W Łodzi popełnił samobójstwo urzędnik Kazimierz Izydorczyk, który ostatnio był bez pracy i żył w skrajnej nędzy. Zażył on jakiejś nieznanej trucizny, ponadto przeciął sobie żyły u rąk nożykiem do golenia.

Tragedja rozegrała się w rodzinie bezrobotnego inżyniera chemji w Warszawie Juljusza Reichelta. Zredukowany w Drohobyczu przeniósł się inż. Reichelt do Warszawy, gdzie nie mógł znaleźć żadnego zajęcia i mieszkał z żoną, oraz dwoma synami w barakach bezrobotnych. Synowie nie mając należytej opieki rodziców zaczęli obcować z ulicznikami. W ub. sobotę inż. Reichelt dowiedział się, że 12-letni jego syn Zdzisław wpadł pod koła tramwaju i zginął, gdyż koła zmiażdżyły mu czaszkę i odcięły ręce. Reichelt całą noc klęczał nad zwłokami syna. W niedzielę rano znaleziono go nieprzytomnego.

25-piętrowy dom w Warszawie. Na jednej z przecznic ulicy Marszałkowskiej ma stanąć nowy niebotyk wysokości 25 pięter. Mają to być mieszkania.

Tragiczna jazda na dachu wagonu. Onegdaj po przybyciu pociągu osobowego do Grodziska pod Warszawą służba kolejowa zauważyła na dachu wagonu zwłoki młodego chłopca. Jak stwierdzono były to zwłoki 15 letniego Konstantego Kalisiewicza, który nie zauważył mostu i uderzywszy głową o przeszkodę poniósł śmierć na miejscu.

Nadużycia na 10 miljonów w dobrach ś. p. Jakóba Potockiego. W Warszawie aresztowano w ubiegłą niedzielę z polecenia sędziego śledczego barona Nolckena, administratora dóbr zmarłego przed paru dniami hr. Jakóba Potockiego. Jakób Potocki, jak już donoszono, ofiarował swój olbrzymi majątek na fundację badań nad rakiem i gruźlicą. Nolckena aresztowano za nadużycia w majątku ś. p. zmarłego na sumę 10 miljonów zł. Nolcken o popełnienie nadużyć oskarżył b. plenipotentów Jakóba Potockiego braci Rosenbergów, którzy za przywłaszczoną sobie sumę otworzyli w Paryżu bank.

Sprawca wielkiej katastrofy pod Sadownem przed sądem. Przed sądem okręgowym w Siedlcach toczył się onegdaj proces przeciwko szoferowi Czesławowi Chylińskiemu, oskarżonemu o to, że w dniu 8 go sierpnia rb., prowadząc autobus pasażerski, spowodował pod Sadownem pow. węgrowskiego wielką katastrofę, w której w nurtach rzeki zginęło 18 osób. Sąd skazał Chylińskiego na 2 lata i pół roku więzienia.

Kara śmierci na szpiega w Łucku. W ubiegły poniedziałek przed Sądem Okręgowym w Równem, jako doraźnym, odbyła się rozprawa przeciwko obcemu obywatelowi Iwanowi Markiewiczowi, oskarżonemu o szpiegostwo na rzecz ościennego mocarstwa. W wyniku rozprawy Markiewicz skazany został na karę śmierci przez powieszenie. Pan Prezydent Rzplitej odmówił ułaskawienia skazanego. Wyrok wykonano we wtorek rano.

11-letnia epileptyczka utonęła w cebrze. W czasie zabawy na podwórku posesji przy ulicy Rudomińskiej w Wilnie utonęła w cebrze napełnionym wodą 11 letnia Janina Antoniewiczówna. Dziewczynka cierpiąca na epilepsję pochyliła się nad cebrem; w tym momencie dostała ataku i upadła do wody głową. Nim pospieszono z pomocą, dziecko już nie żyło, wszelki ratunek okazał się spóźniony.

Włościanie spalili podpalaczowi rękę. Z Wilna donoszą: We wsi Bobry gm. łuczajskiej, przytrzymali mieszkańcy podpalacza St. Uszkę. Pożar, wzniecony przez podpalacza, przerzucił się na sąsiednie budynki, grożąc spaleniem całej wsi. Rozwścieczeni włościanie obili podpalacza, następnie spalili mu rękę. Gdyby nie interwencja policji, tłum zlinczowałby podpalacza. Nieprzytomnego Uszkę odwieziono ze spaloną ręką do szpitala.

Rozstrzelanie 3-ch chłopów. Niemieckie biuro informacyjne donosi z Moskwy, iż w Stalingradzie skazano 3 ch chłopów za zamordowanie komunisty na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok został już wykonany.

Odkopanie szkieletu przedpotopowego zwierza. Ekspedycja zoologiczna sowieckiej Akademji nauk odkopała Tetuczi, w republice Tatarskiej, szkielet ichtjozaura długości 3 metrów należącego do grupy Teriodontów.

Strajk generalny w Hiszpanji. Utworzenie przez hiszpańskiego premjera Lerrouxa rządu bez najmniejszego udziału i wpływów socjalistycznych wzburzyło klasy pracujące, które rozpoczęły generalny strajk. Nocami dochodzi do różnych starć z policją, gdyż strajkujący robotnicy dopuszczają się różnych wykroczeń. Dotychczas 3 policjantów zostało zabitych a 4 ciężko rannych. Według dalszych doniesień rozruchy w Hiszpanji wzmagają się. Szczególnie ciężkie walki rozgorzały w północnej części Hiszpanji Asturji. Rząd ogłosił w całej Hiszpanji stan oblężenia. Liczba ofiar rozruchów zwiększa się i wynosi dotychczas zgórą 100 zabitych osób i mnóstwo rannych.

Zdefraudował 143 miljonów dolarów. Słynny bankier chicagowski Samuel Insull, aresztowany w Turcji i odstawiony do Chicago w Ameryce został w ubiegłym tygodniu postawiony w stan oskarżenia z powodu dokonania malwersacyj, których suma ogólna przewyższa 143 miljony dolarów.

Jak porwano dziecko Lindbergha. Głośna swego czasu była sprawa porwania przez bandytów amerykańskich dziecka sławnego lotnika amerykańskiego Lindbergha, celem uzyskania od niego okupu za wykradzione dziecko, którego trupa później odesłano ojcu. Pomimo wysiłków policji amerykańskiej nie udało się dotąd schwytać bandytów poza stwierdzeniem samobójstwa służącej Lindbergha, która prawdopodobnie współdziałała w kradzieży dziecka. Dopiero obecnie udało się policji amerykańskiej schwytać głównego sprawcę kradzieży dziecka, Hauptmanna. Gazety amerykańskie podają wiadomość o schwytaniu wspólnika Hauptmanna, który po 36-godzinnej indagacji przyznał się, iż brał udział w porwaniu syna Lindbergha. Aresztowany przez długi czas próbował rozmaitych wykrętów, ale załamał się wobec faktów, stwierdzonych przez policję, którym nie mógł zaprzeczyć. Twierdzi on, że trzymał drabinę, po której Hauptmann dostał się do mieszkania Lindbergów. Kiedy Hauptmann opuścił się z dzieckiem na ziemię postanowiono uwolnić się od porwanego dziecka, a zwłoki jego pogrzebać w lesie w pobliżu Mountrese. Wspólnik Hauptmanna za udział w zbrodni otrzymał część pieniędzy, które wręczono Hauptmannowi.

Katastrofalna posucha na Ceylonie. Niebywałe upały i posucha na Ceylonie jakiej nie pamiętają najstarsi mieszkańcy wyspy odbiła się w katastrofalny sposób na zbiorach orzechów kokosowych, ryżu i herbaty. Zachodzi obawa, że najsłynniejsze plantacje herbaty na wyspie zostaną zupełnie zniszczone, jeżeli susza będzie trwała nadal. Zapasy wody zmniejszają się w sposób niepokojący. W północnych częściach wyspy małpy oszalałe z pragnienia rzucają się na ludzi. Jelenie zjawiają się na ulicach wiosek.

Ś. p. Wincenty Zajda, kupiec, jadąc z Katowic do Krakowa, gdzie jak zawsze po pierwszym każdego miesiąca wyrównywał rachunki za sprzedane w swoim sklepie w Makowie czasopisma a także i za „Rolę“, której był przyjacielem, zginął w katastrofie kolejowej w Krzeszowicach. Był to solidny kupiec i prawy obywatel. Cześć Jego pamięci!

RZECZY CIEKAWE.

Reforma wychowania dziewcząt we Włoszech.

Rząd włoski ogłosił nowe przepisy, tyczące się duchowego i fizycznego wychowania dziewcząt włoskich.

Celem fizycznego wychowania dziewcząt ma być wzmocnienie odporności ich organizmu i udoskonalenia linji estetycznej ciała, natomiast wyłączone są wszelkie ćwiczenia o dążnościach bojowych i atletycznych, oraz współzawodnictwa sportowego, jako niezgodne z charakterem i organizmem kobiety. Dziewczęta muszą być wychowywane tak, aby godnie spełniać mogły powołanie swe małżonek, matek i gospodyń domu.

W ośrodkach rolniczych dziewczęta wychowane będą w miłości do roli, a w ośrodkach przemysłowych tworzone będą przedewszystkiem kursy praktyczne.

30 tysięcy dolarów za znalezienie błędu w książce.

Amerykanie są, jak wiadomo, niewyczerpani w swoich pomysłach reklamowych. Dowodem tego choćby pomysł reklamowy, na jaki wpadł ostatnio jeden z wydawców amerykańskich, pragnący zapewnić olbrzymi nakład wydanej przez siebie książki.

Nakładca amerykański umieścił poprostu w gazetach codziennych anons, ogłaszając, iż w wydanej przezeń ostatnio książce, znajduje się jeden błąd drukarski. Czytelnikowi, który pierwszy wykryje ów błąd, obiecał sprytny nakładca nagrodę w kwocie 30 tysięcy dolarów.

Rezultat tego pomysłu reklamowego okazał się wspaniały: w przeciągu dwóch tygodni sprytny nakładca sprzedał 200.000 egzemplarzy swojej książki, którą wszyscy masowo kupowali, chcąc za wynalezienie w niej błędu drukarskiego zdobyć premję w kwocie 30 tysięcy dolarów. Premję tę otrzymał jako pierwszy, młody robotnik drukarski z Nowego Yorku.

Fakt powyższy jest też wymownym dowodem skuteczności reklamy amerykańskiej.

Pociąg ze srebra.

Maharadża Gwaljoru, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, kazał wykonać dla siebie w Londynie niezwykłe cudo techniki. Jest to pociąg, składający się z lokomotywy i wagonów, wykonanych całkowicie ze srebra. Wagony są to platformy, na których znajdują się półmiski z daniami i butelkami. Lokomotywa poruszana jest motorkiem elektrycznym. Pociąg biegnie po szynach, ustawionych na stole i wykonanych tak samo, jak pociąg ze srebra. Służba jest zbyteczna. Gdy maharadża lub gość jego pragnie otrzymać jakąś potrawę, naciska guzik i pociąg wjeżdża; za naciśnięciem powtórnem guzika, pociąg jedzie i maharadża wybiera sobie żądane potrawy. Zabawka ta kosztowała maharadżę ogromną sumę, ale skarb jego może sobie pozwolić na taki wydatek.

Oryginalne przysmaki różnych narodów.

W Chinach znanym przysmakiem są gniazda jaskółcze, oskrzela z rekina, no, i owoce konserwowane w soli i occie. Smakosze nie gardzą także kiełbaskami z małego pieska, zwanego shau hau, który ma czarny ozorek i podniebienie.

W Indochinach za doskonałą potrawę uchodzi specjalny gatunek robaków palmowych, przysmażanych.

Delikatne podniebienie Japończyka zachwyca „saszimi", czyli kawałek mięsa, wycięty z żywej ryby podlany gorącym sosem rumianym, co się nazywa „szoju". Główną potrawą na stole japończyka są ryby i oczywiście, ryż. Podczas pewnego obiadu podano 17 gatunków ryb, podlanych 17-ma rozmaitemi sosami. Karmelki japońskie robi się z żelatyny słodkiej, napuszczonej kropelką cytryny.

Najoryginalniej, ale nie wiadomo czy najsmaczniej, przyrządza się herbatę w Mongolji. Kociołek czyści się nawozem baranim, nie wypłukawszy nalewa się wody, wrzuca kawałek łoju baraniego, szczyptę soli i trochę herbaty.

Rajski kwiat Arabji.

W prowincji Yemen, w Arabji każdy mężczyzna, kobieta i dziecko żują codziennie łodygę, korzenie i kwiaty rośliny, zwanej w arabskim języku „khat", który ma bardzo silne właściwości podniecające i orzeźwiające. Ludność miejscowa nazywa go z tego powodu „Kwiatem Rajskim z Ogrodu Proroka". Wszystkie miasta i osady arabskie posiadają domy publiczne, czyli t. zw. „mabrazy", gdzie ludzie zamożni, którzy mogą sobie na to pozwolić, wynajmują sobie dywan i poduszkę i przeżuwają „Kwiat Rajski" do tonów łagodnej, miękkiej muzyki, co w połączeniu z dziwną działalnością tej rośliny daje tym ludziom złudzenie przedsmaku oczekiwanego po śmierci w raju.

Mądrość narodów.

Poniżej podajemy szereg ciekawych przysłów perskich:

— „Pozostaw psom rozkosz szczekania i gryzienia. Pełnej sakiewce nigdy nie brak przyjaciół. Każdy uważa swą gęś za łabędzia. Kto ukradł jaja, ukradnie i wołu. Gdy słońce wschodzi, gwiazdy gasną. Nie jest winą słońca, że nietoperz nie widzi w dzień. Gdy wilk sam — jest lwem. Cierpliwość jest lekarstwem dla tych, którzy nie mają lekarstw. Nie kładź wiatru do klatki. Nie szukaj pyłu na morzu. Długi język skraca życie. Chełpi się osioł, że koń jest jego wujem. Drzewo miękkie mrówki jedzą. Dom o dwu gospodyniach ma brudu po kolana. Tysiąc przyjaciół — to mało; jeden wróg za wiele. Mrówka u siebie jest tak samo potężna jak Salomon. Lampa nie daje światła przy słońcu. Sława bohatera jest lepsza od samego bohatera. Z łaski wichru nie otrzymasz nic, prócz kurzu. Żaden bohater nie posiada tarczy przeciwko strzałom przeznaczenia. Jeżeli czas się z sobą nie zgadza, zgódź się ty z czasem. Przezorność jest lepsza od kuracji. Cierpliwość gorzka, ale owoc słodki. Szczęścia nie sprzedaje się na targu. Dobre słowo nic nie kosztuje, a jest wiele warte".

Szkoła czarujących uśmiechów.

Wytworna przełożona pensji paryskiej, panna Durant, obok kursu nauk, wyznaczonego programem ministerjalnym, prowadzi w swym zakładzie naukę uśmiechów. Wychodzi ze słusznego założenia, że wszelkie przyrodzone talenty i zalety muszą być rozwijane prawidłowo szczególnie to, co stanowi największy urok kobiety — wdzięk.

Na pierwszej lekcji uczennice śmieją się same z siebie, a raczej ze swej nieświadomości, która poczytywała za wdzięk brzydki krzywienie się i szczerzenie zębów.

— Pokazać na mgnienie oka perliste ząbki, to bardzo wskazane — poucza mistrzyni — ale ciągłe

rozciąganie ust od ucha do ucha staje się dla drugiej osoby utrapieniem. Piękno uśmiechu polega nie na zewnętrzym grymasie, lecz na duchowem nastawieniu: uśmiech, jak miłość, musi być darem i objawieniem. Tak jak nie można kochać na zimno, nie można się i zimno uśmiechać. W cieple uśmiechu kryje się jego zniewalająca siła!

Lekcja nie poszła w las. Kiedy po niejakim czasie przyszedł do szkoły inspektor, zwrócił jego uwagę niezwykle pociągające, uśmiechnięte buziaki pupilek.

— Widzę, że szkoła pani wyróżnia się nietylko doskonałemi postępami, ale i wyjątkowo sympatycznym zespołem uczennic — zauważył. — Zwłaszcza ich pogodny, uprzejmy uśmiech... Bo pytanie, co jest ważniejsze w dzisiejszych czasach: prawienie mądrych rzeczy tonem oschłym i z ponurym wyrazem twarzy, czy choćby uroczy bezsens, podany z czarującym uśmiechem?

— Myślę, panie profesorze — że dla kobiety, chyba to drugie...

Żeglarska bibljoteka.

W budynku, należącym do kościoła żeglarzy w Nowym Jorku otwarto w tych dniach ku czci słynnego żeglarza i powieściopisarza Józefa Conrada Korzeniowskiego bibljotekę dla żeglarzy. Jest to jedyna w swoim rodzaju bibljoteka na świecie. Zgrupowano w niej w dniu otwarcia 4.000 tomów, odnoszących się do żeglarstwa: dzieła naukowe i opisy podróżnicze. Specjalna sala jest przeznaczona dla dzieł Conrada. Bibljoteka jest zarazem małem muzeum, w którem zgromadzono globusy, kompasy i przyrządy miernicze, jakiemi posługiwali się słynni żeglarze i podróżnicy. Bardzo wielka ilość morskich map, pomiędzy któremi znajdują się rzadkie i starodawne egzemplarze.

Najwięcej znaczków pocztowych w Nikaragui.

Znaczki pocztowe wprowadzono prawie na całym świecie w r. 1840. Od tego czasu wydano na kuli ziemskiej 61.056 modeli znaczków pocztowych. Najwięcej gdy 1340 modeli wypuściła Nikaragua. Na drugiem miejscu kroczy Columbia z 1067 rodzajami znaczków. Najwięcej oszczędnym pod tym względem jest kraj Edwarda VII (w Australji) gdzie ukazał się tylko jeden rodzaj znaczków pocztowych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. p.: **Rudolf Chlebowczyk** w K.: O ile miejsce pozwoli — zamieścimy, chociaż artykuł nieco skrócony. Artykuł o „Macierzy“ będzie za długi. Nagrodę wysłaliśmy Prosimy przesłać przy wpłacaniu prenumeraty 2 korony za zwiększoną opłatę przesyłki. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy Pana. — **„Wiatr“** w Ł.: Wiemy, że pan nie zgniewałby się, gdyśmy pół „Roli“ wypełnili wierszykami, ale drudzy, którzy się w wierszykach nie lubują powiedzieliby, że nie mają w „Roli“ co czytać, bo same wiersze się zamieszcza. Lepsze czasy były, różne książki ludzie w księgarniach kupowali, ale na poezje to nabywców zawsze było brak. Czasopismo, o którem Pan wspomniał, to jakiś rewolwer niewiadomo przeciwko komu skierowany. Czytaliśmy już krytykę różnych dzienników o tem czasopiśmie, a ostatnio „Kurjer Powszechny“ poświęcił na krytykę tego czasopisma pół strony, opatrując tytułem „Posiew nienawiści“! Wierszyki Pańskie rymują, ale to nie wszystko aby były dobre. — **Anna Lorencówna** w Ł.: Nagrodę wysłaliśmy. — **Stefan Ociepka** w L.: Narazie jest niemożliwe, gdyż kryzys wszędzie się wżera, ale nazwisko Pańskie będziemy mieć w pamięci i przy najbliższej sposobności odniesiemy się do Pana listownie. — **Br. January Wilk** w D.: Za pamięć serdecznie dziękujemy. Słusznie. nadchodzi zima, to szkoda projektować wyprawę na puszczę, gdyż dużo może się zmienić. Dziękujemy również za przesłaną fotografję, większego formatu. Najserdeczniej wzajemnie pozdrawiamy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Adam Galer z K.).

■	Spółgłoska.
■ ■	Litera grecka.
■ ■ ■	Papuga.
■ ■ ■ ■	Zwierzę leśne.
■ ■ ■ ■ ■	Mieszkaniec wschodu.
■ ■ ■ ■ ■ ■	Zapach.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■	Imię męskie
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■	Miasto w Polsce.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■	Imię żeńskie.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■	Gatunek mąki.
■ ■ ■ ■ ■ ■	Inaczej prędko.
■ ■ ■ ■ ■	Widownia.
■ ■ ■ ■	Pora roku.
■ ■ ■	Spoczynek.
■ ■	Litera.
■	Samogłoska.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą nazwę faktu historycznego.

2. Szarada.

(Ułożył Józef Staniek z Z.).

Pierwsze czwarte każdy siedlarz
Łatwo zrobić może,
Czwarte drugie gospodyni
Rano kurom zboże,
Trzecie pierwsze w obfitości
Z ziemi dobywają,
Pierwsze pierwsze także czasem
Ojca nazywają,
Czwarte trzecie pół pierwszego
Dostanie w aptece.
Pierwsze drugie pół trzeciego
Znajdziesz w każdej książce.
Całość wiele ludzi często używają,
Chociaż z tego nigdy korzyści nie mają.

2. Kalambury.

(Ułożył St. Bilka-Głębicki z L.).

I.

Leży moneta na stole,
Przy niej ryba — leżą wspole
I czytane razem w rzędzie,
Genjusz z Ameryki będzie.

II.

Znaleźć nazwisko
Malarza polskiego,
Co się z ptaka składa
I kosza rybiego.

4. Zagadka.

(Ułożył Bronisław Gołębiowski).

Smukłą, milutką, w bieluchnej szacie,
Spotkasz w salocie, spotkasz i w chacie.
Nam czyniąc przysługę, biedaczka zanika,
Powoli maleje, w końcu całkiem znika.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył Józef Weber z K.).

I.

R. CIEWAK

II.

E. CUPIK.

Z liter ułożyć zawód tych osób.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki w nagrodę.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 18 b. m.

Znaczenie zagadek z Nr. 40 „Roli“: 1. Logogryf: Stanisław Staszyc — Franciszek Smolka. 2. Szarady: Wieliczka, barykada. 3. Zagadki: Rawa — Awar, tak — kat, los — sol. 4. Kwadrat magiczny: Ruda — udar — data — arak.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłał p. Mieczysław Szeliga z B.

Nagrodę otrzymał Miecz. Szeliga z B.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk. Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie.

W restauracji.

— Kelner!

— Słucham pana.

— To kurczę było wyśmienite, świeże, delikatne, białe. Niech pan powie gospodarzowi...

— Cicho, cicho proszę pana, bo jabym miał straszną awanturę. Ja przez omyłkę przyniosłem panu kurczę, przeznaczone dla gospodarza.



Głupie stworzenie.

— Najgłupsze stworzenie to kura!

— Dlaczego?

— Bo wtedy znosi najwięcej jaj, kiedy są najtańsze!

REKORD.

Sprzedawca: — Pani chce koniecznie zamienić tę czarującą suknię. Przecież wczoraj pani twierdziła, że podobała się bardzo narzeczonemu.

Klientka: — Tak ,wczoraj, — ale dzisiaj mam innego narzeczonego.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 9 października b. r.

Pszenica	18·50—19·50	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto	15·50—15·70	Ziemniaki stoł.	4·00—4·20
Owies	15·50—16·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	15·50—16·00	Mąka żytnia	26·25—26·50
Fasola biała	30·00—32·00	Mąka pszen.	35·00—37·00
Grech zwyk.	32·00—34·00	Otręby pszen.	9·75—10·25
Siano słodk.	9·50—10·00	Otręby żytnie	10·00—10·25
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka czerw.	14·00—14·50
Konicz pastew.	9·00—11·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Zupełnie darmo

Przeznaczyliśmy 3 ubrania męskie, 3 palta damskie, 3 kołdry watowe i 3 dywany chińskie na ścianę dla Tych Klientów którzy zamówią u nas do dnia 30 października br. jeden z niżej wymienionych kompletów, a więc:

tylko za zł. 11. 12 gr.

wysyłamy: 4 metry materjału zw. „Alasea" o najmodniejszym wyrobie na elegancką suknię damską, 1 pulower damski z długiemi rękawami czysto wełniany z pięknem przybraniem, 1 parę pantofli dams. o modnym fasonie (podać Nr. obuwia), 1 koszulę damsk. z dobrego madapolamu strojnie haftowaną, 1 apaszkę damsk. wełnianą w śliczne wzory lub 1 parę rękawiczek damsk. wełnianych podwójnych, 1 parę reform damsk. z doskonałego trykotu, 1 parę pończoch wełna z jedwabiem, 2 kawałki mydła pachnącego i 3 chustki damsk. do nosa z jedwabnemi ząbkami.

Tylko za zł. 14 10 gr.

wysyłamy: 3 metry bostonu w prążki szeroki 140 cm. na eleganckie ubranie męskie lub na palto damskie, 1 pulower męski zimowy o najnowszym fasonie z kołnierzem szalowym i długiemi rękawami w dobrym gat. 1 parę kalesonów z dobrego białego zimowego trykotu w najlepszym gat., 1 koszulę męską z białego zimowego trykot. gat. „Trade Mark", 1 krawat czysto jedwabny ostatnie wzory lub 1 szal wełniany, 1 parę skarpetek ewernowych z jedwabiem bardzo modnych i 3 chustki białe z ładnym szalem.

53 mtr. tylko za zł. 26 50 gr.

wysyłamy: 1 sztuczkę płótna białego, 17 metrów w dobrym gat. ze znaną marką fabryczną na bieliznę męską, damską i pościelową, 10 mtr. flaneli dobrej bieliźnianej miękkiej i puszystej na bieliznę różnego rodzaju lub 10 mtr. płótna pościelowego w kraty, 10 mtr. półtna kremowego o bardzo gęstym wyrobie na wszelką bieliznę, 6 mtr. zefiru w modne wzory na męskie koszule dzienne lub bluzki damskie i 10 mtr. płótna ręcznikowego czysto białego na dobre trwałe ręczniki lub 2 prześcieradła białe z kantami.

Wymienione komplety wysyłamy za zaliczeniem pocztowym, płaci się przy odbiorze towaru. Bez ryzyka. Jeżeli towar się nie podoba przyjmujemy zpowrotem i pieniądze natychmiast zwracamy.

Adresować: „Polski Towar", Łódź, ul. Piłsudskiego 44/8.

Dnia 1 listopada br. ogłosimy listę wygranych.

UWAGA: Komplet męski składa się z zimowych pierwszorzędnych trykotów, a nie z letnich.

Pryw. gimnazjum żeńsk.

PP. Benedyktynek w Staniątkach (poczta w miejscu) **ze specjalnym typem eksperymentalnym, gimnazjum przyrodniczo-ziemiańskie. Gimnazjum istnieje już od roku 1924 i posiada b. prawa szkół państwowych, nadane rozporządzeniami Min. W. R. i O. P. z r. 1925 i 1931. — Bliższe informacje na miejscu albo pisemnie.**

Kupię aparat fotograficzny

używany w dobrym stanie marki obojętnej, formatu od 6,5 x 9 albo 9 x 12, światła od 4½ do 6,8 z dodatkami. Zgłoszenia z podaniem ceny nadsyłać **January Wilk, Dukla.**

Rolnicza Ajencja Prasowa, pragnąc dać możność zapoznania się z nowemi zarządzeniami, obchodzącemi rolników, wydała książkę p. t.:

Informator Administracyjno-Podatkowy

która omawia szczegółowo następujące działy: Administrację, Sądy, Sprawy Podatkowe, Wojskowe, Ubezpieczeniowe i t. d. Opłaty stemplowe, sądowe u komorników, adwokatów i inne. Specjalną uwagę zwrócono na dział podatkowy i sprawy oddłużeniowe w rolnictwie. Pozatem książka zawiera 60 wzorów podań, skarg, próśb i dowołań do wszystkich urzędów

Informator Administracyjno-Podatkowy powinien się znaleźć w domu każdego światłego rolnika, a w szczególności interesującego się sprawami publicznemi.

Książkę wysyła Rolnicza Ajencja Prasowa po wpłaceniu zł. 1.40 na konto P. K. O. Nr. 13.674 lub po nadesłaniu tej sumy pocztą pod adresem: Rolnicza Ajencja Prasowa w Warszawie, ul. Marszałkowska 85.

Prosimy nie zamawiać za zaliczeniem, gdyż to podnosi znacznie cenę książki.

Uwaga: Za cenę jednej porady prawnej ma się stałego doradcę w domu.

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawieniem klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdujące się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.

Krople choleryczne

dla drobiu wszelkiego rodzaju, dobre i skuteczne krople przeciw cholerze i biegunce u drobiu, oraz zapobiegają wszelkim chorobom u tych zwierząt, cena za butelkę 3 zł.

Wysyła **A. MAGURA, Uhnów.**



SKRZYPCE

skorygowane do użytku szkolnego i koncertowe

Struny z najlepszych fabryk

Wszelkie naprawy uskutecznia po cenach konkurencyjnych.

Praca bardzo staranna.

Instrumenty dęte z fabryki:

BOHLAND & FUCHS

na składzie w wielkim wyborze poleca:

Pracownia Instrumentów Muzycznych

JÓZEFA ZAJĄCA

Kraków, ul. Florjańska 21 I. piętro.